NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 21 marca 1908. Nr. 12.

Ujęcie szajki bandyckiej. (Treść na str. 2).



Ujęcie szajki bandyckiej.

(Do illustracyi tytułowej.)

W ubiegłym tygodniu napadła szajka bandytów na dwór w okolicy Tomaszowa Rawskiego



Jubileusz arcypasterza: Ks. Wincenty Teofil Chościak Popiel, arcybiskup i metropolita warszawski.

w Królestwie Polskiem, napad ten jednak został odparty, a dzięki energicznie urządzonemu pościgowi, część szajki wpadła w ręce władz. Bliższe badania, przeprowadzone co do identyczności ujętych rzezimieszków, oraz rewizya wykazały, że kilku z nich brało udział w pamiętnym napadzie rabunkowym na dwór w Bielinie i morderstwie na osobach właścicieli Bielina, ś. p. Wernerów. Wobec wyników dochodzeń bandyci przyznali się do winy, wskazali też innych uczestników napadu, a żandarmerya urządziła niezwłocznie obławę za nimi. Wieść o rewizyach i aresztowaniach w Tomaszowie rozeszła się po okolicy, to też przebywający w tamtych stronach bandyci i rzezimieszkowie rozpierzchli się na wszystkie strony.

Wnet potem naczelnik powiatu łódzkiego otrzymał poufną wiadomość, że w okolicy Łodzi włóczą się obcy, a wielce podejrzani ludzie. Skutkiem tego policya łódzka przy pomocy wojska zarządziła wielką obławę pod Zgierzem i w lesie lućmierskim, ponieważ tam owych pojderzanych ludzi widziano.

Obława wydała nadzwyczajny rezultat, ponieważ ujęto ośmiu niebezpiecznych bandytów, mających na sumieniu cały szereg grabieży i mordów. Znalezione przy nich drogocenne przedmioty, pochodzące z rabunków, maski, sztuczne brody i wąsy, oraz broń, stanowiły cenne dowody ich winy. Między ujętymi byli też uczestnicy morderstwa w Bielinie.

Chwilę ujęcia bandytów w ciemnym lesie lućmierskim przedstawia nasza rycina tytułowa.

Jubileusz arcypasterza.

Ubiegłej niedzieli sędziwy arcypasterz dyecezyi warszawskiej obchodził niezwykle rzadką uroczystość jubileuszową, dwudziestą piątą rocznicę wstąpienia na tron arcybiskupi warszawski.

Ks. Wincenty Teofil Chościak Popiel, urodzony w r. 1825, uczęszczał początkowo na kursa prawne w Warszawie, wkrótce jednak posłuszny swemu powołaniu wstąpił do seminaryum duchownego w Kielcach, które opuścił w r. 1849 po otrzymaniu święceń kapłańskich. Dla dopełnienia studyów teologicznych wyjechał do Rzymu, gdzie uzyskał w akademii „Sapientia" stopień doktora teologii. Przez czas jakiś wykładał następnie w seminaryum kieleckiem, w którem sprawował urząd wiceregensa i profesora aż do chwili nominacyi na rektora akademii duchownej. W rok po tej nominacyi otrzymał sakrę biskupią z przeznaczeniem na stolicę płocką. Wybitną i obfitą w plony działalność jego przerwał podówczas wyrok, skazujący go na przymusowy pobyt w Nowogrodzie. Stąd, po sześcioletniem wygnaniu, wrócił do kraju jako biskup kujawsko-kaliski. Gdy zaś poprzedni arcybiskup warszawski, ks. Feliński, upoważniony został przez Stolicę Apostolską do złożenia swego urzędu, na miejsce jego powołany został w r. 1883 obecny Jubilat.



Aresztowanie publicystki w Warszawie: Iza Moszczeńska.

W uroczystości jubileuszowej brali udział przedstawiciele wszystkich sfer, którzy najdostojniejszemu arcypasterzowi składali życzenia długich jeszcze lat pracy na ciężkim i trudnym posterunku. Również z całej archidyecezyi i z innych dzielnic Polski otrzymał czcigodny arcypasterz z okazyi jubileuszu listy i depesze z gratulacyami i wyrazami czci.



Aparatem redakcyjnym W. Lis.

Na roboty — do Czech: Robotnicy wyjeżdżający do Czech, w czasie odczytywania warunków umowy.

Aresztowanie publicystki w Warszawie.

W tych dniach po rewizyi w mieszkaniu przy ulicy Hożej aresztowano u znajomych na Lesznie znaną działaczkę postępową i publicystkę, p. Izę Moszczeńską Rzepecką. Przyczyny aresztowania— niewiadome.

P. Moszczeńską osadzono w Ratuszu.



Aparatem redakc. W. Lis.

Na roboty — do Czech: Personal okręgowego urzędu pośrednictwa pracy w Krakowie, z naczelnikiem dr. Kumanieckim (X) i delegatem centr. krajowego urzędu pośrednictwa pracy w Pradze p. J. Kohnem (XX).

Na roboty — do Czech.

W czasie zeszłorocznego kongresu austryackich publicznych biur pośrednictwa pracy, odbytego w Wiedniu, padło po raz pierwszy hasło skierowania do Czech robotników sezonowych z Galicyi, wychodzących co roku na zarobki „na Saksy“. I gdy z Prus nadeszły wiadomości o projekcie wywłaszczenia i gdy w kraju zaczęto się zastanawiać nad bojkotowaniem pruskich junkrów, dr. Kumaniecki, naczelnik okręgowego urzędu pośrednictwa pracy w Krakowie, postanowił myśl, rzuconą w Wiedniu, w czyn zamienić.

Nadarzyła się zaś po temu rychło sposobność, gdyż Wydział krajowy w Pradze wysłał do Lwowa w sprawie dostawy robotników do Czech dwóch urzędników, jako delegatów. Nie uzyskawszy we Lwowie żadnych pozytywnych danych, wstąpili delegaci w powrocie do Krakowa, gdzie naczelnik krakowskiego urzędu pośrednictwa pracy ujął sprawę w swe ręce. Tutaj ułożono warunki płacy i tekst kontraktu, o tyle korzystniejszy od przeciętnych niemieckich, że określa także i te przypadki, w których robotnik może rozwiązać umowę. Akcyę zaczęto organizować wspólnie z biurami powiatowemi w Oświęcimiu i Tarnobrzegu.

Kiedy w dziennikach pojawiły się wiadomości,



Na roboty — do Czech: Pierwsza partya robotników, wyjeżdżających do Czech. Aparatem redakc. W. Lis.

że w Błażowej, Białem, Berku, Budziwoju, Putemie, Hermanowej, Kąkolowcach, Leckiej i Piątkowej zawiązały się komitety gminne pod kierownictwem komitetu okręgowego w Tyczynie, celem powstrzymania miejscowych robotników od wychodźtwa do Prus, urząd krakowski nawiązał bezzwłocznie z nimi stosunki z bardzo dodatnim wynikiem.

Dzięki tej połączonej akcyi publicznych biur pracy i kilku jednostek, poczuwających się do obowiązków obywatelskich, już w tym roku blisko 1000 doborowych robotników zamiast do Prusaków, pójdzie do Czech.

Pierwszy transport odszedł z Krakowa w ubiegłą niedzielę. Robotników z Błażowej przywiózł do krakowskiego urzędu delegat komitetu w Błażowej, p. Jędrzej Paluch, gdzie oczekiwał już na transport wysłannik centralnego krajowego urzędu pośrednictwa pracy w Pradze, p. J. Kohn. W wytężającej pracy około przygotowania tak licznego transportu w kilku godzinach, pracował cały personal urzędu pod kierunkiem naczelnika. Przeprowadzenie podziału, wręczenie każdemu robotnikowi kartki z dokładnem podaniem pracodawcy i miejsca pracy itp. odbywało się we wzorowym porządku, w czem główną zasługę ma sekretarz urzędu p. Roja, wspomagany przez p. St. Znamięckiego. W Oświęcimiu dołączył się drugi transport, zorganizowany przez kierownika tamtejszego biura powiatowego p. Heinzego i w ten sposób robotnicy w osobno zamówionych wozach podążyli do Kolina, gdzie ich oczekiwali zastępcy pracodawców i urzędnicy krajowych czeskich biur pośrednictwa pracy.

Widać stąd, że tam, gdzie dobra wola i zmysł organizacyjny podadzą sobie ręce, da się każdą myśl zdrową w czyn zamienić nawet na galicyjskim gruncie, gdzie zwykle, niestety, na frazesach i nieporadności się kończy.

Oby tylko te usiłowania nie skończyły się na wysyłce tysiąca robotników, bo wobec olbrzymich mas, wychodzących każdego roku na zarobki do Prus, jest to kroplą w morzu. Sprawa zaś nie jest bynajmniej łatwą i wymaga zarówno organizacyi silnej, jak energicznej agitacyi wśród ludu, aby go przekonać o korzyściach wychodźtwa do innych krajów, a przedewszystkiem wytrwałości po stronie tych, którzy akcyę ujęli w ręce.



Posiew pruskiej kultury w Persyi: Grono nauczycielskie szkoły niemieckiej w Teheranie. Po środku dyrektor dr. Peters. (Do artykułu na str. 10).



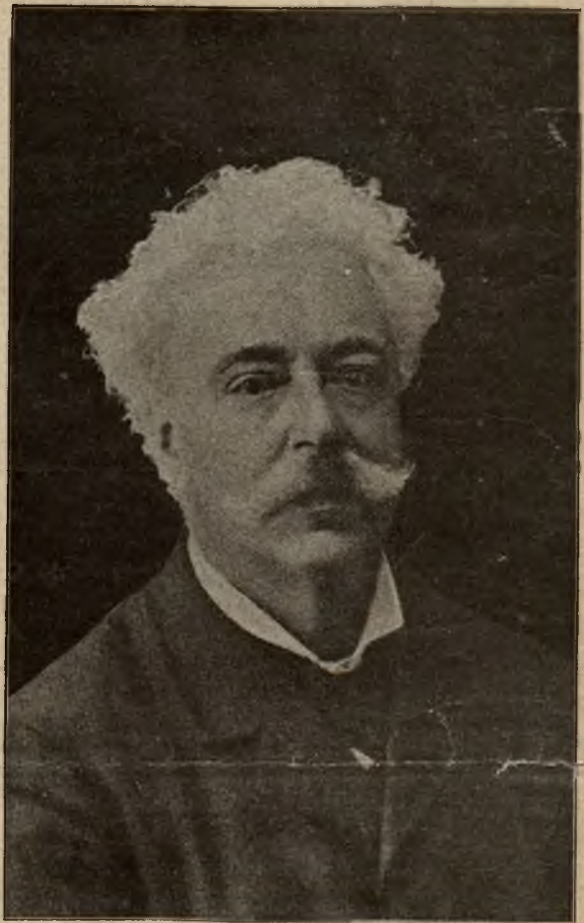
Tragiczny wypadek: Ś. p. Maryan Hubicki.

Skon znakomitego pisarza włoskiego.

Włochy utraciły jednego z najwybitniejszych swoich pisarzy, cieszącego się wszechświatową sławą, Edmunda De Amicisa. Początkowo pragnął on poświęcić się zawodowi wojskowemu i już jako trzynastoletni chłopiec próbował uciec ze szkoły, by dostać się do oddziałów Garibaldiego; ucieczka nie powiodła się jednak i Edmund musiał wrócić na szkolną ławę. Po ukończeniu liceum w Cuneo, wstąpił do szkoły wojskowej w Modenie, a po jej ukończeniu ze stopniem podporucznika przeszedł do armii i w jej szeregach walczył następnie przeciw Austryi pod Custozą.

Z takiem samem zamiłowaniem, jak sprawom wojskowym, oddawał się i literaturze ojczystej, wzbogacając ją pierwszorzędnej wartości dziełami. W dwudziestym pierwszym roku życia objął redakcyę gazety wojskowej „Italia militare“, w której umieścił szereg opowiadań z życia wojennego.

Drobne te utwory uczyniły imię jego głośnem i zachęciły go do poświęcenia się wyłącznie literaturze. Po zjednoczeniu Włoch opuścił armię, udając się w podróże do Hiszpanii, Holandyi, Marokka, Londynu, Konstantynopola i Paryża, które następnie opisał w szeregu dzieł, tłómaczonych na wszystkie prawie języki, między innymi i na polski. Największą jednak poczytnością cieszą się do tej pory późniejsze jego utwory, jak „Przyjaciele“ i „Serce“, które doczekało się przeszło czterystu wydań w języku włoskim, nie licząc tłómaczeń.



Skon znakomitego pisarza włoskiego: Ś. p. Edmund De Amicis

Oprócz prozy uprawiał De Amicis i poezyę, a jeden tom wierszy poświęcił Polsce, pod tytułem „Italia e Polonia“.

Edmund De Amicis zmarł nagle w Bordigherze na porażenie mózgu w sześćdziesiątym drugim roku życia.



Posiew pruskiej kultury w Persyi. Uczniowie niemieckiej szkoły w Teheranie, zebrani na obiedzie w internacie. (Do artykułu na stronie 10).

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

18

Zamiast Janiny odpowiedział naczelnik:

— Dzisiaj na próbę sprzedawała panna Trawecka bilety... i szło wcale dobrze.

— W takim razie trzeba wysłać pana Flegema na miejsce przeznaczenia, a panna Trawecka obejmie kasyerstwo.

Następnie podszedł do stołu, otworzył tekę i na wyjętym papierze zrobił notatkę.

Zamknął tekę i rozejrzawszy się po pokoju, spytał:

— Czy w czasie służby nocnej obaj kasyerzy odpoczywają na tej kanapce?—wskazał na wąską, wygniecioną sofkę.

— Innej tu niema—odpowiedział naczelnik — a panowie jakoś radzą sobie i nie narzekają.

— Bo nikt nas nie pyta — mruknął zgryźliwie Jarkowski.

— Hm... wobec instalacyi nowej kasyerki, należałoby coś obmyśleć — dorzucił Warzecki.

— Zrobi się to... coś zarządzę — zawołał naczelnik z gorliwością.

— I należy się, chociażby ze względów przyzwoitości — mówił Warzecki z powagą — trzeba też biuro utrzymywać w większym porządku, przewietrzać częściej...

— Zastosuję się do polecenia — skinął głową naczelnik.

Wieść o przybyciu kontrolora rozeszła się szybko na stacyi i między niższą służbą. Były tam różne pretensye i skargi na zbyt despotyczne rządy naczelnika, i gdy kontrolor wyszedł na peron, trzech ludzi, zdjąwszy czapki, przystąpiło do niego z niskimi ukłonami.

— Dopraszamy się też łaski i sprawiedliwości od wielmożnego pana — schylił się do kolan jeden z robotników, blondyn szczupły, ale zwinny i silny.

Naczelnik spojrzał gniewnie na stojących i rzekł niecierpliwie:

— Wynoście się! Tu ani czas, ani miejsce.

Robotnicy nie dali się odstraszyć i zastąpili drogę Warzeckiemu, który węsząc z urzędu możliwe nadużycia podwładnych spytał się z łaskawością:

— A czego chcecie?

— Proszę łaski wielmożnego pana — zaczął pierwszy — piąty rok pracowałem na kolei i należał mi się etat, aż wielmożny pan naczelnik w zeszłym tygodniu wypędził mnie. Tyle lat, tyle pracy i zabiegów poszło na marne. Cóż ja pocznę teraz?

W szarych, głębokich oczach malował się żal, a twarz wymizerowana, zniszczony ubiór świadczyły o nędzy.

Warzecki spojrzał z zapytaniem na naczelnika, który pospieszył z odpowiedzią:

— Był niedbały... uwolniłem go.

— Ja niedbały? — oburzył się szczerze robotnik — a to jeden raz nie mogłem iść na posługi do kuchni pana naczelnika, bo mi żona zachorowała ciężko, ale swoją służbę robiłem rzetelnie. Wszyscy mogą zaświadczyć.

Warzecki udał, że nie dosłyszał powodu wydalenia, a w myśli swej już przyznał słuszność naczelnikowi, zawsze to bowiem oszczędność wydatków kolejowych, gdy zamiast stałej, etatowej służby wykonują nieodzowne czynności robotnicy podzienni. Zwrócił się też do robotników z twarzą surową i rzekł ostro:

— Pan naczelnik ukarał was słusznie za niedbalstwo, a leniwych i niedbałych kolej nie potrzebuje.

I z miną groźną, krokiem majestatycznym poszedł dalej.

Robotnicy z głębokiem westchnieniem żalu i goryczy zostali chwilę i rozeszli się.

Warzecki idąc peronem dostrzegł w rogu pod ścianą kilka niedopałków papierosów, nachmurzył się, przystanął i rzekł:

— Pan za pobłażliwy dla służby... czy powinna tu być taka kupa śmieci? Porządek i sprawiedliwość, oto zasady, których wymagam od kierowników.

— Rozumiem panie kontrolorze.

— I zechciej pan to pamiętać.

— Dobrze panie kontrolorze.

XI.

W piątym dniu pobytu Janiny na stacyi, w chwili gdy pomagała raczej, aniżeli się uczyła przy kasyerze osobowym Flegemie, przyjechał kontrolor kasowy Dworaczek z dyrekcyi kolejowej.

Skoro pociąg pospieszny wyjechał ze stacyi, wszedł do kasy. Średniego wzrostu, niewyraźny blondyn, krępy, silny, w znoszonym garniturze marynarkowym, ledwie raczył skinąć głową na powitanie i stanął na środku pokoju, patrząc badawczo na Janinę, Flegema, Jarkowskiego i pisarza...

Flegem z niskim ukłonem podszedł do kontrolora kasowego i podając klucze kasy żelaznej i ternionu, rzekł głosem pokornym:

— Jestem na rozkazy pana kontrolora.

Dworaczek przyjął klucze, zrzucił paltot letni, powiesił na szaragach, w milczeniu podszedł do kasy, zamknął ją, również ternion, spojrzał na pieniądze utargowane przed chwilą i policzywszy schował je do kasy, a zwracając się do Flegema:

— Proszę o książki.

— Natychmiast panie kontrolorze — i z półki zdejmując mówił, kładąc książki kolejno na stole: —„Verwendungs Vormerk...“ „Journal...“ „Abfuhrsbuch...“ czy mam dać i „Kassabuch?“

— Pańskie zapiski osobiste nic mnie nie obchodzą — powiedział suchym tonem i zaczął szczegółową rewizyę biletów w ternionie, zapasowych w szufladach, porównywał z cyframi wpisanemi do książek, i sprawdził kasę.

Po skończeniu zwrócił się do Janiny tonem dość uprzejmym:

— Sprawdziłem stan kasy, liczbę biletów, jeśli pani chce, może pani przejrzeć, chociaż to jest zbyteczne, bo sam zrobiłem rachunek.

— Widziałam — odrzekła spokojnie.

— Oto są klucze — podał trzy klucze — od tej chwili pani odpowiada za kasę i pełni służbę. Spodziewam się, że zawsze znajdę kasę w porządku i nie usłyszę żadnych skarg na opóźnienie lub nieakuratność... no i „manko“ nie będzie — uśmiechnął się.

Następnie wstał, ubrał się i do Flegema, który stał z boku, powiedział:

— Dziś pan wolny od obowiązku, a jutro proszę się stawić na miejsce przeznaczenia.

— Rozumiem panie kontrolorze — skłonił się głęboko.

Po wyjściu dygnitarza Flegem zaśmiał się, splunął i rzekł:

Dobrze, że tę śmierdzącą dziurę porzucam... no, wam Jarkowski i panu Szyrecowi życzę powodzenia — podał rękę kasyerowi pakunków, skłonił się lekko pisarzowi, a zbliżywszy się do Janiny mówił z ironicznym uśmiechem: — pani nie potrzebuję życzyć powodzenia, bo pani już je ma... nawet taki gbur czeski, jak Dworaczek prawi pani komplementa — podał rękę do uścisku i wyszedł.

Janinę dotknęły te słowa, spochmurniała i z goryczą rozmyślała, jak dalece ludzie nie mają odczucia, że swojemi słowami dotykają innych boleśnie. Taki Flegem służy przecież, podobnie jak ona, znosi od przełożonych przykrości, a jednak ani się zawahał rzucić jej w oczy impertynencyę.

Jarkowski poczuł zapewne niewłaściwość odezwania się Flegema, bo zwykle skąpy w słowach i ironiczny powiedział tonem kojącym:

— A teraz rozpoczynamy służbę we dwoje. Dzienną służbę przy dziesięciu pociągach można łatwo przetrzymać, gorzej z nocą.

— Sądzę, że przywyknę i będę się budziła odruchowo — uśmiechnęła się Janina.

— To z czasem będzie... ale do pospiesznego 9.50 nocą, do osobowego 12.58 musi pani niemal czuwać, tu na tej sofce... Następnie do pospiesznego 5.26 radziłbym pani wypocząć w domu i już czuwać do dziewiątej rano, a w międzyczasie nocnym zapisać do książek.

— Dziękuję panu za radę... ale czy nie bezpieczniej byłoby na razie wypocząć tu od pierwszej w nocy do piątej.

— To nadto męczy, przekona się pani... ja idę do domu i budzę się sam, a pani może umówić się z portyerową co do budzenia.

— Dobrze... namyślę się zresztą.

Tak jednak była zadowolona swą samodzielnością i pozycyą, że pierwszą tę noc spędziła nie zmrużywszy nawet oczu.

Gdy pociąg osobowy o godzinie dwunastej minut 58 odszedł, zostawały jej cztery godziny spoczynku, a upewniwszy się, że portyer nocny zbudzi ją na pół godziny przed przyjściem pociągu położyła się na wysuniętej, podniszczonej sofce. Czuła się zmęczona i chciała usnąć. Przyniesioną poduszeczkę podłożyła pod głowę, przyciemniła światło i zamknęła oczy. W całym dworcu panowała cisza, gdyż był to czas, że ani pociąg ciężarowy, ani osobowy nie przychodził na stacyę. W ciszy nocnej tem łatwiej chwytał słuch każdy szmer, szelest, ciche poruszenie.

W sieniach dzielących pokój kasy z restauracyą trzeciej klasy posłyszała dziwny łopot, jakby ostrożne stąpanie sabotów drewnianych, które to się zbliżały, to oddalały od okienka kasowego. Nasłuchiwała pilniej, wreszcie podeszła do okienka, odsunęła cichutko firankę i przy słabem, przyćmionem świetle dojrzała biegające szczury, które z nor wybiegły na żer, wyszukując po kątach porzucone resztki i obierzyny. Z obrzydzenia i wstrętu przez chwilę nie mogła się poruszyć i wpatrywała się w niezgrabne, spłaszczone ciała, zakończone nagim ogonem, w te czarne, połyskliwe oczy, i nagłym ruchem zasunąwszy firankę, z dreszczem obrzydzenia spojrzała na pokój kasowy. Tu na ścianach, na podłodze, na sofce snuły się czarne, tłustawe karaluchy, a wokoło piecyka żelaznego biegały na wyścigi prusaki, żółte, ruchliwe, z wąsikami nastroszonymi.

Teraz naprawdę zdjął ją lęk i obrzydzenie. Tam za ścianą gromada szczurów, tu wstrętne, nocny żywot pędzące owady, ani uciec, ani schronić się i jeszcze ta suknia, na którą tak łatwo wlezą potworne stworzenia. Szybko ugięła spódnicę, rozświetliła pokój i tupotem nóg, uderzeniem o stół i podłogę papierami spłoszyła natrętów. Naturalnie o spaniu mowy nie było, do sieni bała się wyjść, chodziła po pokoju bardzo ostrożnie, ażeby nie nadepnąć jakiego z owadów, które mimo jasnego światła szukały żeru, zwłaszcza przy stole pisarza, który łamiąc chleb i suche bułki, sypał okruszyny na podłogę.

Nareszcie zaświtało. Na dalekim wschodzie rozlało się po niebie perłowo-seledynowe światło i zwolna różowiało, stawało się purpurowem, wreszcie błysł promień jutrzenki.

Otworzyła okna narozcież. Wpadło chłodne, świeże powietrze i poczęło gasić rozgorączkowaną twarz i głowę Janiny. Z pobliskiego lasu odezwały się ćwierkania zbudzonych ptaszął, zakukała kukułka, gruchały gołębie, a pod bladawe niebo wznosił się skowronek, niestrudzony, jak chłop, śpiewak roli uprawnej.

Jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, znikły owady w szczelinach, ustał łopot szczurów, cały dworzec zamilkł, a ożyły krzaki, pola, las, rozgłośnem życiem do słońca, miłości, swobody.

Pełną piersią wciągała Janina ożywcze zapachy z łąk i lasu, a spojrzawszy na pokój kasowy, miała uczucie, że jest w niewoli i jak pies uwiązana na łańcuchu przy tej kasie. Gdyby być wolną, swobodną, pracować według swej woli i myśli, współdziałać w urzeczywistnieniu szczęścia wszystkich ludzi. Przyszły jej na myśl nauki i wskazówki zaczerpnięte z książek i od Wapieńskiego. I mogłaby się rzucić w wir agitacyi i pracy, gdyby nie to podejrzenie, że ona zdradziła pracę przy pierwszem spotkaniu się z rzeczywiststością.

— Ach, gdyby się oczyścić, wiedzieć kto zdradził przed inspektorem tę ich pierwszą zmowę!?

Wszedł Jarkowski, zgięty, zaspany, z czerwonemi powiekami i na powitanie mruknął:

— Jakże noc przepędziła pani?

— Nieszczególnie... tyle szczurów, karaluchów i innych owadów.

— Et, można się przyzwyczaić przy dobrej woli — uśmiechnął się, siadając przy swym stoliku.

— Może... ale dawniej byłabym uciekła do trzeciego pokoju na widok tych stworzeń... a dziś czuwałam przez całą noc.

— Razem z niemi — uśmiechnął się. Z czasem to się pani oswoi z niemi, a one z panią.

Wkrótce miał nadejść pociąg, pasażerowie żądali biletów, i zaczęło się zwykłe życie kolejowe. Gwizdy lokomotyw, nawoływania dozorców, rozkazy urzędników, dzwoneczki, dzwonki, łoskoty przesuwanych wagonów, bieganina i nalegania gorączkowe pasażerów, i cudowny poranek zmienił się w gwar, krzyk, rozgardyasz.

Stosownie do regulaminu, Janina przeliczywszy uzyskane ze sprzedaży biletów pieniądze, wzięła ze sobą książkę pokwitowań t. zw. "Abfuhrsbuch", i poszła do kancelaryi naczelnika na pierwsze piętro.

Otworzywszy drzwi zastała w biurze służącą, ścierającą kurze, która na jej widok zawołała ostrym, śmiałym głosem:

— A czego pani tu chce?

— W interesie służbowym do pana naczelnika.

— Pan naczelnik zajęty... a jaki to interes ma pani?

— Przyniosłam pieniądze.

Służąca niska blondynka, z twarzą szeroką, pospolitą, uśmiechnęła się i zrekła:

— Pieniądze rano, to dobry znak.. niech pani zaczeka, pójdę i obaczę.

Służąca wiedziała doskonale, że to nowa kasyerka, ale słyszała już od pani naczelnikowej, że to socyalistka, niewierząca w Pana Boga, nieuznająca małżeństwa i własności prywatnej, to też podejrzliwie spojrzała na nią, na przedmioty leżące na stole, i zwolna wyszła, zostawiając za sobą drzwi lekko przymknięte.

Przeszła przez salon banalnie, modą hotelową umeblowany, z nudną symetryą ustawionych mebli i z hałasem otworzyła drzwi do jadalnego pokoju. Przy stole zakrytym tanią ceratą siedziała pani naczelnikowa z córką i mężem, a słysząc drzwi gwałtownie otwierane, zrekła surowo:

— Czego się tak rozbijasz? Tu nie stajnia, ani chlew.

— Spieszno mi, bo przyszła do pana jakaś młoda, nie wiem panna czy pani.

Żona spojrzała groźnie w oczy męża a do służącej zawołała:

— Nie mogłaś powiedzieć, że pan naczelnik zajęty? Cielę jakieś!

— Ba, kiedy się uparła, że musi widzieć samego pana naczelnika — uśmiechnęła się ze złośliwą przyjemnością, wiedząc, że tem drażni panią.

— Co to znaczy Klemensie? — spytała surowo męża.

— Alboż wiem? — wzruszył ramionami — pewno jakaś pasażerka.

— A jak ona wygląda? — spytała zaciekawiona Alisia, córka, niska, pulchna szatynka, z nosem lekko zadartym, z błyszczącemi, ciemnemi oczyma.

— Niczego sobie... młoda, postawna — odpowiedziała służąca.

— Idź do biura, przypilnuj, żeby czego nie wzięła i powiedz, że pan naczelnik zajęty — rozkazała pani.

— Kiedy ona nie ustąpi, mówi, że ma pieniądze oddać czy odebrać... dobrze nie wyrozumiałam.

— Hm... pójdę sam, bo to godziny urzędowe — dopił kawy, otarł usta i wstał z krzesła.

— Tylko bez skandalów, Klemensie — upomniała żona.

— Ty bo zawsze podejrzywasz — odpowiedział z wymówką.

— Mam racyę.. ty wiesz najlepiej.

Naczelnik wyszedł, a zobaczywszy Janinę w biurze, rzekł niezadowolony:

— A, to pani... mogła pani później przyjść, słyszała przecież pani, że jestem zajęty.

— Przyszłam o dziewiątej, stosownie do polecenia pana naczelnika.

— Przesadna punktualność — usiadł za biurkiem — zobaczymy, czy taka będzie w służbie... no, cóż pani powie?

— Oto pieniądze za bilety — położyła na biurku — a tu książka pokwitowań.

— Najpierw powinna pani powiedzieć cyfrę pieniędzy i naucz się pani technicznego wyrażenia: „Abfuhrsbuch".

— Rozumiem panie naczelniku.

Kurczyński zły z przerwania śniadania, docinków żony, spędzał na razie swój zły humor na niewinnej Janinie; nagle przypomniał sobie, że to przecież protegowana inspektora Lerche, że ona może się poskarżyć i uśmiechając się przyjaźnie, rzekł:

— Może pani zechce usiąść... muszę przeliczyć... pokwitować... proszę siadaj pani — wskazał na krzesło przy biurku.

Zaledwie Janina usiadła, drzwi od saloniku otwarły się szeroko i weszła pani naczelnikowa, szeleszcząc dość brudnym szlafroczkiem rannym. Janina powstała i złożyła ukłon, na który pani naczelnikowa nie zwróciła uwagi i patrząc na męża powiedziała:

— Konferencyę z tą panną zostaw na później., kawa ci ostygnie.

— Fipciu najmilsza... zaraz... to sprawa kasowa.

— Kasa nie ucieknie, a do naczelnika przychodzi się w czasie właściwym. Anarchizm dobry jest w mieście, ale nie na stacyi, u podwładnych — spojrzała ze złośliwą pogardą na zarumienioną Janinę.

— W tej chwili Fipciu... tylko przeliczę...

— Czekam cię... tylko bez flirtów — i wyszła majestatycznie.

Naczelnik widział całą niewłaściwość zachowania się żony i nie wiedząc, jak wybrnąć, rzekł od niechcenia po przeliczeniu pieniędzy:

— Zły humor... zęby ją bolą...

Podpisawszy pokwitowanie w książce dodał dobrodusznie:

— Zapewne zmęczyła panią noc.

— Tak... trochę — wstała z krzesła.

— No, na balu, na zabawie przyjemniej — uśmiechnął się — a teraz niech pani wypocznie i dobrze się prześpi.



Naczelnik pospieszył z odpowiedzią: Był niedbały.... uwolniłem go.

Zabrała książkę, skłoniła się w milczeniu i wyszła.

Na pierwszem piętrze kamienicy, w której mieszkała, spotkała Zgierską, która wyciągając rękę na powitanie, zawołała wesoło:

— Dziś będzie pani miała dobry obiadek... trafiła mi się cielęcina doskonała; wcale nie wydęta i mam poziomki.

— Za wiele dobrego — uśmiechnęła się Janina.

— Nie dla pani... po całonocnej służbie pewno pani zmęczona i głodna. Zaraz coś przyniosę.

— Dziękuję pani... jestem senna i nic nie chcę prócz snu.

— A kiedyż obudzić panią?

— Do obiadu — i uścisnąwszy rękę Zgierskiej poszła do swego pokoju.

Usnęła snem twardym bez snów i marzeń i dopiero silne pukanie do drzwi przebudziło ją.

Szybko zarzuciła na siebie ubranie i otworzyła. Przywitała ją Zgierska z uśmiechem, który przylgnął do jej twarzy i zawołała:

— Już po pierwszej, my dawno po obiedzie, ale kartofle mogły się rozgotować, więc wolałam obudzić panią.

Służąca wniosła potrawy i ustawiwszy na stole wyszła.

Wśród banalnej rozmowy o stosunkach kolejowych na stacyi, powiedziała Zgierska tonem zwykłym, bez akcentowania:

— Ciekawa rzecz, że pani chłopiec nie przyjechał do tej pory?

— Chłopiec? Mój? — zaśmiała się swobodnie — ależ żadnego nie miałam i nie mam.

— Ach, droga panno Janino, to dobre dla innych, ale ja jestem prawdziwą przyjaciółką pani... po cóż sekreta między nami?

— Wcale nie mam i nie chcę mieć sekretów przed nikim, więc i przed panią.

— No, no... nie może się pani wypierać przedemną — zaśmiała się wesoło — kto umeblował mieszkanie? kto polecił panią naczelnikowi i służbie? kto nakazał oddanie kasy po kilku dniach próby?... O, my wiemy dobrze.

— To są pozory — zawołała Janina z odcieniem oburzenia — wbrew mej woli umeblowano mi pokój, o żadnej protekcyi u naczelnika nie wiem, a kontrolora kasowego widziałam po raz pierwszy w życiu.

— Mówią tak na stacyi — powiedziała niezmieszana — ja wiem, że pani uczciwa i porządna... ale, między nami mówiąc, że pani podobała się inspektorowi, to widoczne. I tem lepiej dla pani.

— Dla mnie? — zdziwiła się.

— A dla kogóż? — zaśmiała się — my kobiety możemy być ze sobą szczere. Każdy mężczyzna, chociażby był inspektorem czy dyrektorem nawet, byle zakochany, da się na pasku poprowadzić, gdzie pani zechce. Nie mówię o niczem złem, uchowaj Boże, wystarczy spojrzenie, uśmiech, uścisk ręki i już go pani trzyma. A ile to dobrego można zrobić? ile prześladowań usunąć? Otwiera mu się oczy na to lub owo i on patrzy już tylko oczyma pani... Ja to wiem — westchnęła — i ja byłam młoda i we mnie się kochano.

— Zaprzestańmy tej rozmowy, ona robi mi przykrość — powiedziała Janina, odkładając nóż i widelec.

— Nie chce pani, to nie... ale na całej stacyi niema pani tak szczerej przyjaciółki, jak ja. Inni ujadają na panią, sama naczelnikowa aż się pieni, a ja bronię panią, bo i cóż pani winna, że on zakochał się w pani, jak kot w marcu.

— Prosiłam panią... nie mówmy o tem.

— No, nie to nie — wstała z krzesła — ale jeszcze raz powtarzam, ostrożnie panno Janino... Ot, ten Stański, dobry, pilny, grzeczny, a naczelnik nie da mu słowa dobrego, wszyscy zmówili się, aby go utrącić i pewno miejsce straci.

— A pani skąd wie?

— O, myśli pani, że ludzie nie widzą i nie wiedzą — uśmiechnęła się — wszyscy mówią, że za karę został tu przeniesiony... Ktoś powiedział inspektorowi, że on się buntuje, że wymyśla na dyrektora, podburza innych i tylko czekać, jak go przepędzą.

— Nic nie wiedziałam o tem — szepnęła zmartwiona Janina.

— To dziwne — uśmiechnęła się — o tem wróble świegocą... a jedno dobre słowo pani u inspektora i nie straciłby chleba taki porządny pan, co z każdym po ludzku rozmówi się, wysłucha... A mój mąż, czy siedziałby kamieniem na jednej posadzie, gdyby ktoś za nim powiedział dobre słowo? Ale już idę, tylko jedno powiem pani... szczęście tylko raz w życiu pcha się do ręki i trzeba je schwycić, bo raz zrażone, nigdy nie wraca... a pani ma wielkie szczęście. Młoda, ładna i ma pani stanowisko niezależne, a trzeba szanować tego, kto przyniósł to szczęście.

Podała rękę, uścisnęła, spojrzała porozumiewawczo w oczy i zabrawszy naczynia wyszła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowy dyrektor teatru w Poznaniu.

Kwestya kierownictwa teatru polskiego w Poznaniu została więc rozstrzygniętą. Powierzono je reżyserowi operetki lwowskiej p. Andrzejowi Lewiczowi. W ubiegłym tygodniu podpisał nowy dyrektor kontrakt na przeciąg sześciu lat, poddając się wszelkim zastrzeżeniom, jakiemi kontrakt opatrzono, a przedewszystkiem kontroli rady nadzorczej, której dyrekcyę tworzą pp. Krysiewicz, Szczaniecki i Więckowski.

Program działalności ma p. Lewicz wykończony. W Poznaniu grać będzie od 15 września do 15 maja, resztę zaś czasu spędzać będzie ze



Nowy dyrektor teatru w Poznaniu: Andrzej Lewicz.

swoją trupą częścią w miastach prowincyonalnych w Galicyi, częścią w miejscach kąpielowych, przedewszystkiem w Ciechocinku. W ten sposób personal teatru poznańskiego będzie miał zapewnione *engagement* całoroczne, nie jak dotychczas na przeciąg ośmiu miesięcy. Dalszą nowością w teatrze poznańskim będzie dział opery i operetki, której poświęcone będą trzy lub cztery wieczory w tygodniu. Publiczność poznańska lubi śpiew i muzykę, zapewne też będzie zadowoloną z tej nowości, nadto zaś odciągnie się ją od niemieckich tinglów i teatrów rozmaitości.

Repertuar operowy obejmie w pierwszej linii dzieła polskich kompozytorów i sztuki ludowe. Co do dramatu i komedyi, to dział ten powierzy pan



Amatorski teatr dziecięcy: Trupa amatorów-dzieci w Gwoździcu.

Lewicz jednemu z wybitnych polskich artystów dramatycznych. Personal złoży nowy dyrektor w ciągu najbliższych tygodni, angażując lepsze siły z rozmaitych scen, pozostawiając też część dotychczasowej trupy.

Ostatnie chwile przed objęciem nowego stanowiska spędzi dyr. Lewicz w Krakowie, z trupą operową teatru lwowskiego. W dniu 1 września zaś rozpoczyna kampanię, a rozpoczyna ją z wiarą w swe siły, z jak najlepszemi chęciami i nadziejami. Spełnienia ich życzymy mu z całego serca.

Pożar teatru.

Miasto niemieckie Meiningen poniosło bardzo dotkliwą stratę z powodu pożaru, którego ofiarą padł w pierwszych dniach marca teatr tamtejszy, pierwowzór nowoczesnej sztuki dramatycznej w Niemczech.

Pożar wszczął się w piwnicach, gdzie znajdują się piece do centralnego ogrzewania i z tak gwałtowną szybkością rozszerzył się po całym gmachu, iż w godzinę potem cały prawie budynek stał się pastwą niszczącego żywiołu. Całe usiłowania straży pożarnej, milicyi i wielu mieszkańców zwróciły się przeto do ratowania wewnętrznych urządzeń, przedstawiających niezwykłą wartość. Istotnie zdołano uratować część cennych rekwizytów, garderoby i przedmiotów pamiątkowych, zebranych w oddzielnej sali, natomiast nadzwyczaj bogata biblioteka spłonęła, lub też została zniszczona wodą podczas akcyi ratunkowej.

Teatr ten, zbudowany w r. 1831, przedstawiał dla Niemiec całych niezwykłą wartość, na nim bowiem wzorowały się wszystkie sceny niemieckie, z niego wyszli najsławniejsi artyści niemieccy.



Pożar teatru: Gmach teatru w Meiningen w czasie pożaru.



Hojny miliarder: Andrew Carnegie.

Duszą teatru przez cały czas jego istnienia był ośmdziesięciodwuletni dziś starzec, książe Jerzy, który nietylko łożył olbrzymie sumy na jego urządzenie i utrzymanie, ale i kierował nim osobiście. Sława „Meiningeńczyków“, tak nazywano powszechnie zespół artystyczny tego teatru, była zarazem i sławą księcia. Mimo dotkliwego ciosu książe Je-

rzy nie poddaje się rozpaczy, lecz zamierza w najbliższym czasie przystąpić do odbudowania zniszczonego gmachu.



Wojskowa aeronautyka w Austryi: Balon kulisty w chwili wzlotu.

Amatorski teatr dziecięcy.

W miasteczku galicyjskiem Gwoździcu powstało niedawno kółko amatorskie dziatwy szkolnej, z inicyatywy proboszcza miejscowego ks. gwardyana Kasprzyka, kierownika szkoły p. Leszczyńskiego i nauczyciela p. Pachulskiego. Mali amatorowie z całem zamiłowaniem oddają się miłej a szlachetnej rozrywce, wlewając w swe role młodzieńczy zapał i energię życiową.

Teatrzyk szkolny w wysokim stopniu wywiera dodatni wpływ na młodzież tak pod względem religijno-moralnym, jak i wychowawczym. Pierwsze przedstawienie urządzono w styczniu b. r., odegrano mianowicie „Jasełka" Barańskiego. Na ogólne żądanie dano „Jasełka" poraz drugi w lutym, w szczelnie zapełnionej sali „Sokoła". Dochód z obu przedstawień przeznaczono na zakupno obuwia i odzieży dla biednej dziatwy szkolnej, tudzież na odnowienie miejscowego kościoła parafialnego.

Na ostatniem przedstawieniu, w niedzielę 9 b.m., odegrała młodzież w sali „Sokoła" dwie sztuczki: „Powrót taty" Welfego i „Wśród gwiazdek" Barańskiego. Przedstawienie wypadło bez zarzutu, a młodziutkich artystów oklaskiwała z zapałem licznie zebrana publiczność. Szczególnie pięknie wypadła scena, przedstawiająca obóz zbójecki w lesie. Młodzi artyści z werwą odśpiewali zbójeckie pieśni, urozmaicone tańcami. Publiczność z zadowoleniem opuściła salę, prosząc o powtórzenie przedstawienia.

Załączona rycina przedstawia grupę małych artystów, w oryginalnych, barwnych kostyumach.

Hojny miliarder.

Z pomiędzy wielu krezusów amerykańskich zaszczytne miejsce przyznać należy Andrewowi Carnegie'mu, jednemu z najbogatszych między nimi, ale też i niezwykle ofiarnemu na cele humanitarne i publiczne.

Niedawno właśnie przeznaczył on 500.000 marek na rzecz mającego powstać instytutu Kocha



Wojskowa aeronautyka w Austryi: Próby z balonem podłużnym (Drachenballon) na Semmeringu.

w celu zwalczania tuberkulozy. W piśmie, wystosowanem do amerykańskiego ambasadora w Berlinie, wspomina Carnegie, omawiając ten hojny swój dar, iż zainteresował się sprawą zwalczania tuberkulozy w czasie swego pobytu w Europie zeszłego roku. Działalność tego rodzaju ludzi, jak Koch, Lister, Pasteur, którzy mają na oku dobro ludzkości i do celu tego usilnie dążą, zasługuje — zdaniem Carnegie'go — na poparcie jak najgorliwsze. Dla umożliwienia też założenia instytutu antituberkulicznego złożył wspomniany wyżej dar.



Wojskowa aeronautyka w Austryi: Protektor oddziału aeronautycznego, arcyksiążę Leopold Salvator z małżonką arcyksiężną Blanką i komendantem oddziału kapitanem Hinterstoisserem.

Wojskowa aeronautyka w Austryi.

Potężny i coraz wspanialszymi wynikami wieńczony postęp na polu żeglugi napowietrznej, dostarczył technice wojennej całego świata nowego a nadzwyczaj doniosłego, zwłaszcza w celach rekognoscyjnych, środka a mianowicie balonów. Z wysokości kilkuset metrów można objąć doskonale ogromne rozmiary powierzchni ziemi, która przedstawia się w ten sposób jakby olbrzymia mapa. Można na tej podstawie, przy pomocy lunet, odmierzać wygodnie dystansy i rozmieszczenie pojedynczych oddziałów wojska, można przypatrywać się i oceniać krytycznie ruchy całych pułków, całych korpusów wojska. Przy pomocy telefonów i sygnałów nie trudno też stamtąd udzielać oficerom wskazówek i poleceń. To też dziś każde niemal państwo posiada w swej armii oddziały aeronautyczne.

I armia austryacko węgierska, choć dość późno podjęła próby w tym kierunku, nie pozostała w tyle poza innemi państwami. Założony w 1890 r. przez pierwszego wiedeńskiego aeronautę Silberera oddział wojskowej żeglugi napowietrznej, dziś zostający pod protektoratem arcyksięcia Leopolda Salvatora, rozwija coraz żywszą i coraz bogatszą w owoce działalność.

Ognisko prób i doświadczeń tego oddziału znajduje się na krańcach Wiednia, w III. okręgu. Kieruje niemi kapitan Franciszek Hinterstoisser, który po ukończeniu szkoły kadeckiej pionierów, studyował aeronautykę w Berlinie. Próby odbywają się przy pomocy balonów dwojakiego rodzaju. Albo kulistego, albo podłużnego, w kształcie cygara. W celu przechowywania balonów i przyrządów rozmaitych, znajduje się na placu ćwiczeń szereg budynków. Połączone są te budynki przewodami podziemnymi z gazownią wiedeńską, skąd bywa dostarczany gaz do napełniania statków.

Zamieszczone dziś ryciny przedstawiają oba rodzaje balonów wojskowych austryackich, oraz protektora oddziału arcyksięcia Leopolda Salvatora, jego małżonkę arcyksiężnę Blankę, oraz komendanta oddziału, kapitana Hinterstoissera.

Armia zbawienia.

Za jeden z najcharakterystyczniejszych objawów ruchu religijnego w Anglii uważać należy powstałą tam w drugiej połowie ubiegłego stulecia

sektę, znaną powszechnie pod nazwą Armii zbawienia. Początkowo wyśmiewana i wyszydzana tak za swą karną, jakby wojskową organizacyę, jak i za oryginalną propagandę, odbywającą się zawsze przy dźwiękach własnej orkiestry, złożonej z instrumentów dętych, międzynarodowa armia ta liczy obecnie dwa tysiące dziewięćset trzydzieści siedm korpusów, rozmieszczonych w trzydziestu dwóch krajach i koloniach. Liczba „żołnierzy“ wynosi przeszło dwa miliony, a dowodzi nimi piętnaście tysięcy podoficerów i przeszło dziewięć tysięcy oficerów pod dowództwem założyciela,



Armia zbawienia: Jenerał Wilhelm Booth.

generała Bootha, któremu wszyscy winni okazywać bezwzględne posłuszeństwo.

Głównem zadaniem Armii zbawienia jest walka ze złem, z państwem szatana, który według kanonów Armii rządzi obecnie wszystkimi krajami świata. Dla zwalczania go, generał Booth urządza wyprawy, które odbywają się zawsze według jednej taktyki. Walki te bezkrwawe odbywają się w ten sposób, iż odkomenderowany do danej miejscowości oddział Armii dźwiękami orkiestry i pieśnią choralną, wzywa na zebranie ludność z okolicy, a wraz z nią i szatana. W czasie zgromadzenia przygrywa orkiestra rzewne utwory, a w przerwach członkowie Armii wygłaszają podniosłe kazania, opowiadając szczegóły z swej przeszłości grzesznej i nakłaniając do poprawy i życia Bożego w szeregach armii.

Pomimo śmieszności tej agitacyi, Armia zyskuje sobie co raz to nowych członków. Posiada dziś liczne koszary, sale zebrań, przytułki i kuchnie, w których po nasyceniu zgłodniałych, w podobny sposób zachęca zebranych do przystąpienia do swych szeregów.

Rycina nasza przedstawia właśnie chwilę, gdy zebrany tłum bezdomny słucha słów kaznodziei Armii.

Artysta skandalu.

Pana Tosellego zna dziś cały świat. Wszak jest pianistą-wirtuozem, kompozytorem i mężem b. hr. Montignozo. Warto go więc było pokazać żądnej widoku takich osobników Warszawie. Od czegóż zresztą jest tamtejsza Filharmonia. Poczęto pertraktacye. Pierwszym punktem, od którego je zaczęto, był warunek, by artysta przybył z małżonką. Pan Toselli oburzył się... Propozycya zarządu Filharmonii obrażała jego najświętsze uczucia miłości. Gdyby choć wyższe honoraryum?!... Poczęto się więc targować. Pan Toselli coś spuścił, Filharmonia dodała. Stanęło na trzech tysiącach franków i dwóch biletach I. klasy z Włoch do Warszawy. Dla obojga państwa Tosellich.

Nadszedł uroczysty dzień koncertu. Warszawa nie mogła się go doczekać. Tymczasem zaraz na wstępie spotkało ją przykre rozczarowanie. Pan Toselli przyjechał wprawdzie I. klasą, ale nie z żoną, lecz ze służącym. Albo mu to nie wolno? To też gdy go zainterpelowano w tej sprawie, powołując się na wysłanie drugiego biletu, przeznaczonego dla pani Toselli, odpowiedział z oburzeniem, że oba bilety były do jego dyspozycyi, i mógł z nimi zrobić, co mu się podobało. Mógł nawet przywieść swego psa.

Wieczorem koncert. Pan Toselli grał utwory rozmaitych mistrzów, a potem swoją kompozycyę „Serenada Italiana“. Jako wirtuoz okazał się artystą średniej miary, jako kompozytor jednak zblamował się najzupełniej. Było wprawdzie trochę oklasków, ale więcej sykania i szmerów. Wprost z estrady więc pobiegł pan Toselli, do kancelaryi Filharmonii, aby odebrać honoraryum i opuścić niewdzięczną Warszawę. Tu nastąpiła tragedya. W chwili gdy pan Toselli po wysłuchaniu gorzkich wymówek za niedotrzymanie umowy i przybycie bez żony, zamierzał schować wyliczone trzy tysiące franków, zjawił się zastępca ajencyi koncertowej w Łodzi i zaaresztował honoraryum. Wielki artysta ten mianowicie miał przybyć z koncertem także do Łodzi i otrzymał á conto honoraryum zaliczkę w wysokości 1000 fr. Zaliczkę wziął, ale na koncert nie przybył.

Smutne więc wrażenia wywiózł z Warszawy. Oby nie popełnił nowej kompozycyi pt. „Serenada Varsoviana“.



Artysta skandalu: Ludwik Toselli.

Wesoła korespondencya.

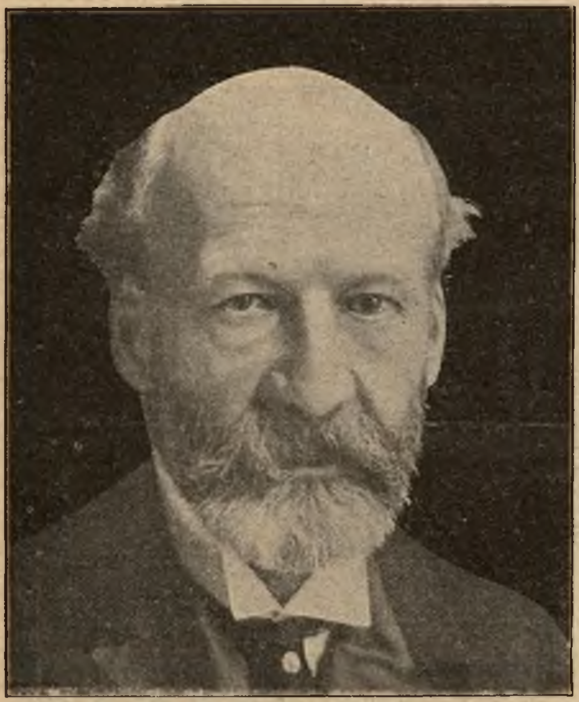
Cesarz Wilhelm II. ma szczególny dar interesowania swoją osobą całego świata. A jeszcze bardziej rozweselania. Podróże, mowy, krytyki, korespondencye — oto jego repertuar. Dziś stał się znowu głośnym. Spowodował rozgłos list jego do lorda admiralicyi angielskiej Tweedmoutha.

List ten jest niejako echem pobytu Wilhelma II. w Londynie. Jako niepospolity „znawca“ marynarki, ba, nawet honorowy admirał floty angiel-



Armia zbawienia: Kazanie członka Armii, celem zjednania nowych członków.

skiej, przejął się tak seryo swą godnością, że uznał za właściwe udzielić zarządowi angielskiej floty paru krytycznych uwag. Ot — jak dobry, życzliwy przyjaciel. Aby jednak jego życzliwość pozostała w ukryciu, uczynił to w liście prywa-



Wesoła korespondencya: Lord Tweedmouth.

tnym, wystosowanym do lorda Tweedmoutha, który jest nietylko pierwszym dygnitarzem floty angielskiej, ale i osobistym przyjacielem cesarza Wilhelma II. Że list był przeznaczony tylko do prywatnego użytku adresata, wynika z tonu, w jakim był zredagowany i z pereł humoru niemieckiego, w nim hojnie rozsianych. Wspominając np. o lordzie Esherze, jednym z naczelnych admirałów floty angielskiej, radzi mu cesarz Wilhelm, aby zamiast marynarką, zajął się raczej klozetami zamku windsorskiego, które w czasie pobytu swego w tej rezydencyi znalazł w nieporządku. Co za wszechstronne znawstwo!

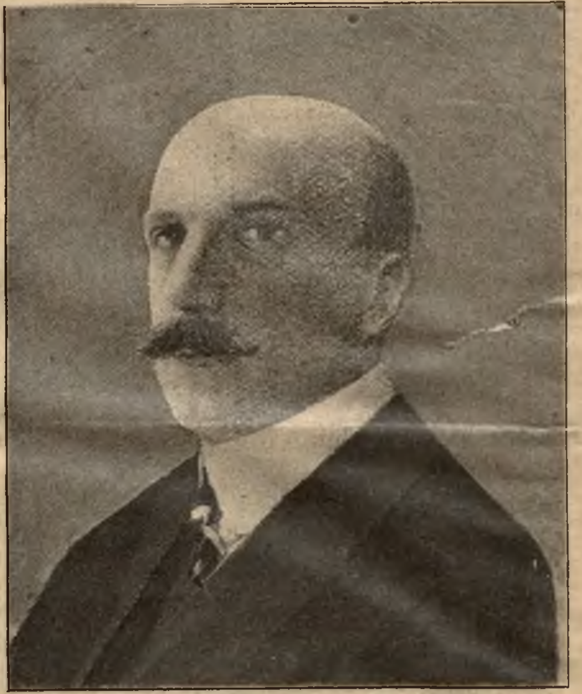
Lord Tweedmouth na list odpowiedział listem i cała ta korespondencya marynarsko-klozetowa byłaby poszła w niepamięć, gdyby nie niedyskrecya „Times'a", który skądś dowiedział się o wszystkiem i rzecz opublikował, krytykując oczywiście nietakt monarchy obcego państwa, mieszającego się do wewnętrznych spraw sąsiada. Od tej chwili prywatna korespondencya cesarza Wilhelma II. stała się publiczną, a prasa całego świata wypowiedziała niedwuznacznie swe o niej zdanie.

Ale przedewszystkiem zajęła się tą kwestyą opinia publiczna w Anglii; w izbie gmin i w izbie lordów zainterpelowano rząd w sprawie owego listu. Przewodniczący chwilowo minister skarbu Asquith i lord Tweedmouth udzielili wskutek tych interpelacyi obszernych wyjaśnień, które wprawdzie usiłowały złagodzić ujemne wrażenie faktu, ale nie uratowały autora listu od nowej, gruntownej kompromitacyi.

Posiew pruskiej kultury w Persyi.

Persya, to państwo słynne zarówno z bezrządu jak z niechlujstwa, poczyna się cywilizować. I to na modłę europejską. Poprzednik obecnie rządzącego szacha, zmarły przed rokiem Muzaffereddin, miłował się w podróżach po Europie i w wędrówkach tych zapoznał się pobieżnie także z systemem wychowawczym niemieckim. Nawpół barbarzyńskiemu władcy zaimponowała koszarowa, tłumiąca wszelką indywidualność pedagogia, podobały mu się umundurowane, karne zastępy uczniaków, wychowywanych według jednej miary, dopasowywanych pod jeden strychulec.

I postanowił w swoim kraju założyć taką samą szkołę. Niemcy bardzo skrupulatnie chwycili się okazyi, by swą „kulturę" przeszczepić na grunt perski. Natychmiast też wydelegowano tam trzech pedagogów, którzy wraz z kilku nauczycielami perskimi, władającymi dobrze językiem niemieckim, utworzyli ciało nauczycielskie i rozpoczęli w Teheranie wykłady.



Wesoła korespondencya: Lord Esher.

Nauka w tej szkole obejmuje trzy stopnie. Uczą tam prócz języków perskiego, niemieckiego, francuskiego i arabskiego, także historyi, geografii, matematyki, fizyki itd.

Protegowana przez sfery rządzące, jedyna zresztą tego rodzaju szkoła w stolicy państwa, cieszy się dużą frekwencyą, mimo bowiem jednorocznego zaledwie istnienia, liczy już z górą 200 uczniów. Ze szkołą tą połączony jest także internat dla uczniów, w którym wychowankowie mają jeszcze więcej sposobności do przejęcia się duchem i kulturą państwa „bojaźni Bożej".

Japońska artystka w Europie.

Na widownię sceniczną wypłynęła obecnie nowa gwiazda, która choć zrodzona na dalekim Wschodzie, pełnem swem światłem zajaśniała dopiero na firmamencie europejskim. Jest nią japońska artystka Hanako, która w chwili gdy poprzedniczka jej i nauczycielka Sada Yakko, syta na pewien czas chwały i dostatków odpoczywa wraz z mężem Kawakami w Paryżu, zebrała swą własną trupę i objeżdża z nią stolice europejskie.

Krytyka podnosi zgodnie niezwykły talent japońskiej artystki, polegający przedewszystkiem na oddawaniu z niewysłowionym czarem przejawów duszy kobiecej. Jednym z głównych powodów wyjazdu artystek japońskich do Europy, jest chęć poznania scen tutejszych, by według nich zreformować teatr japoński.



Wesoła korespondencya: Lord Tweedmouth wyjaśnia sprawę listu Wilhelma II. na posiedzeniu izby lordów.



Wesoła korespondencya: Minister finansów Asquith.

NIEWINNIE POSĄDZONY.

Powieść według aktów sądowych. Tłómaczył Felicyan Dulski.

15 (Dokończenie).

— Kłamiesz! Helena dochowała mi wierności, mimo tych oszczerstw, które na nią miotałaś, mimo tego, żeś ją z domu swego wypędziła i zabroniła do mnie przystępu. Ty moja pani chciałaś nas rozdzielić, chciałaś być morderczynią mojego szczęścia.

— Wolfgang! przestań — krzyknęła przeraźliwie, twarz jej zieleniała, z oczu zionęły płomienie wściekłego gniewu. Kto ci to powiedział? Czy może ta czarna obłudnica? Zakuta w mnisi habit, zazdrości mi swobody, piękności, zazdrości i tego dostatku, który mnie otacza. Złośliwa jędza. Dlatego mi ona broniła wstępu do ciebie, aby ci opowiadać różne bajki, brednie. Nie wierz jej, tej obłudnicy; ona kłamie – nie ja. Aby cię przekonać, przysięgam na pamięć mojej matki, na głowę mojego ojca, że...

Niedokończyła, bo rozwarła się portyera i weszła zakonnica. Wolfgang dostrzegł odrazu, że to jakaś inna, a nie ta, która go pielęgnuje. Wzrost miała wyższy, postawę okazalszą, a twarz pokryła welonem. Ellinor, w uniesieniu gniewu, nie dostrzegła tej różnicy, lecz myśląc, że to taż sama, co Wolfganga pielęgnuje, tupnęła nogą, wskazała ręką na drzwi i zawołała:

— Precz! zabraniam pani zbliżać się do łóżka chorego. Jużeś tu niepotrzebna, ja sama będę go pielęgnowała.

— Wybacz pani, że nie będę posłuszna — odezwał się dźwięczny, miły głos zakonnicy. Odsunęła welon i ukazała się twarz Heleny, szlachetna, piękna, pełna powagi, spokoju.

Wolfgang krzyknął z radości. wyciągnął ku niej ręce; Ellinor popatrzyła na Helenę z piekielną zajadłością; w pierwszej chwili chciała się rzucić na nią, ale powstrzymana królewską postawą rywalki i jej pogardliwem spojrzeniem, cofnęła się i już miała rzucić się na Wolfganga, żeby go sobą zakryć, gdy Helena ją uprzedziła i stanąwszy przy łożu chorego, rzekła rozkazująco:

— Tu miejsce tylko dla narzeczonej. Pani niepotrzebnie się trudzi. Z tego schronienia, użyczonego choremu, przestaniemy korzystać. Tymczasem ja pozostanę tu, a pani tam. To rzekłszy wskazała jej ręką drzwi do dalszych pokoi.

Ellinor popatrzyła na Helenę wzrokiem zjadliwym, przeszywającym, chciała coś powiedzieć, ale zagryzła usta, odwróciła się i stanąwszy już we drzwiach, odezwała się z pogardliwem szyderstwem:

— Zostawiam zupełna swobodę w moim domu, a sama natychmiast stąd wyjeżdżam. Ani godziny nie mogę być pod jednym dachem z taką leśną awanturnicą. Gdyby tu było potrzeba pieniędzy, to proszę udać się do mojej służby, która otrzyma stosowne dyspozycye.

Zatrzasnęła drzwi za sobą gniewnie. Helena i Wolfgang zostali sami. Przez długą chwilę milczenie trwało przykre, bo obydwoje dotknięci obelżywą zniewagą przez Ellinorę, jakby oniemieli z oburzenia.

Milczenie przerwał Wolfgang.

— Piekielna kobieta. Ile ja przecierpiałem przez te tygodnie! Tyle tu miałem spokoju, ile dni leżałem bez przytomności. Gdym ją odzyskał, straszne było przebudzenie. Tyle dni bez żadnej wiadomości o tobie, tyle dni najczarniejszych myśli, żeście mnie opuścili, żeś mną pogardziła, żeś uwierzyła podejrzeniom Dossenaua. Ta szatańska kobieta zabroniła zakonnicy wspominać o tobie.

— Wiem, wiem o tem wszystkiem; ta zacna siostra miłosierdzia opowiedziała mi już wszystko. A gdy usłyszałam od niej, jak pragnąłeś mnie widzieć, jak się o mnie dopytywałeś, byłam tak szczęśliwą, że zapomniałam o wszystkich cierpieniach.

— Mimo wdzięczności, którą mam dla Dossenaua, mimo innych różnych powodów, mam przecież straszny żal do niego, że mnie naraził na chorobę i na opiekę tej pani Rivallier. A gdym go zobaczył, wybiegłem uradowany, żeby mu wytłomaczyć, po co tu przyszedłem; gdyby był posłuchał cierpliwie, byłby się nawet ucieszył, nie byłoby tego nieszczęścia.

— Ucieszył? ucieszył, powiadasz, a czemże?

— Dowiesz się o tem, ale już z jego ust własnych. Ja niemam prawa mówić ci o tem i wybacz, że zachowam przed tobą tajemnicę na czas krótki, bo to sprawa nie moja, ale jego.

— Jestem kobietą, a więc i ciekawą, a jednak szanuję twoją wolę. Mówisz, że z ust jego się dowiem. Mój drogi, my go już chyba nigdy w życiu nie zobaczymy. Nie wiesz, jak mnie pożegnał, nie wiesz, jak na ciebie oburzony. Przysiągł, że cię zabije, jeżeli mu się na oczy nasuniesz. Jakże wracać? Gdy wyzdrowiejesz, gdy się połączymy, poszukamy sobie innego gniazda.

— Nie, nie — moja najdroższa! Nasze szczęście i oni podzielać muszą: twój zacny ojciec i Dossenau. Bądź spokojna moja Heleno i ufaj temu, co mówię.

— Ja się tak boję nowego nieszczęścia, a dość ich już było, w tym lesie, w tym zamku, w tym pałacu. Oszczędzałeś mi całej prawdy i byłam ci za to wdzięczna, bo ceniłam twą delikatność, ale kobiece serce bywa niekiedy jasnowidzące.

— Nie mówmy o tem, co tam było, bo nad tą czarną chmurą przeszłości, już wschodzi słońce przyszłości jasnej, szczęśliwej.

— Daj Boże, by sprawdziły się twoje słowa.

— Sprawdzą się mój aniele, sprawdzą. A teraz powiedz mi, co z tobą się działo przez ten czas?

— Straszny był powrót owego dnia z wycieczki. Zaledwieśmy wysiedli z powozu, zaczął stary lokaj z przekąsem opowiadać Dossenauowi, że była jakaś zgrabna, młoda pokojówka, że wręczyła ci jakiś list i że udałeś się z nią na dworzec. Dossenau wpadł w gniew i rozdrażnienie, zaczął dopytywać się, jak wyglądała, a poznawszy z opisu, że to służąca pani Rivallier, oburzył się tak bardzo, że go niczem uspokoić nie mogłam. Mimo próśb moich i zaklęć, pojechał natychmiast do Condamine. W kilka godzin powrócił blady, posępny, rozżalony strasznie. Opowiedział mi, co widział przez okno, opowiedział rzecz prawdziwie straszną, ale ja nie uwierzyłam i powiedziałam, że choćby nawet tak było istotnie, jak mówił, choćby go oczy nie złudziły, ja nie przestanę w to wierzyć, że jesteś wierny i niewinny. Oburzył się na mnie, mówić dalej zabronił i rozkazał, abym ci natychmiast zwróciła pierścionek zaręczynowy i oświadczyła stanowczo, że między nami wszystko, raz na zawsze, zerwane. Groźny był wtedy strasznie, piorunujący, a tak kamiennie stanowczy, że mógł był zmusić do posłuszeństwa najoporniejszego człowieka. Serce moje, przeczucia moje, wiara w ciebie były tak silne, że i ja zdobyłam się na stanowczość.

Oświadczyłam mu, że uczucia mojej wdzięczności dla niego są ogromne, ale obowiązki moje względem ciebie, obowiązki względem zaprzysiężonej miłości są jeszcze większe.

Postanowił czekać do dnia następnego. Myślał, że tobie nic się nie stało, że wkrótce powrócisz. Nadszedł wieczór; gdyś nie wrócił, Dossenau był tak rozdrażniony, że wcale nie kładł się do łóżka i noc całą spędziliśmy strasznie; on w ciągłych wybuchach gniewu, ja w ciągłem wysilaniu się, aby go uspokoić.

Zaświtał ranek... Dossenau powtórzył mi wczorajszy rozkaz, a gdy mu to samo, co wczoraj odpowiedziałam, krzyknął przeraźliwie: „Idź za nim bezwstydna! Powiedz temu bezwstydnikowi, że jeżeli kiedykolwiek spotkam go w życiu, musi zginąć z mej ręki; przysięgam na honor mojego nazwiska“. To było całe jego pożegnanie; wyjechał natychmiast.

— O moja ty święta, czem ja ci odwdzięczę te cierpienia?

— Już je zatarłeś zupełnie w pamięci, bo wiem, że mnie kochasz, bo wiem, że sam wiele cierpiałeś. Temu zacnemu człowiekowi musimy to wszystko wybaczyć, bo to co uczynił, uczynił tylko z miłości dla nas. Ja mu już wtedy wybaczyłam i modliłam się gorąco, aby szczęśliwie powrócił do domu, opuszczony przez nas, bez żadnej w drodze opieki.

Zaraz po jego wyjeździe wyszukałam sobie skromniutkie mieszkanie w pobliżu Condamine i pobiegłam dowiedzieć się o twoje zdrowie. Straszna to była dla mnie chwila, gdy mi powiedziano, że lekarz małą ma nadzieję, abyś mógł wyzdrowieć. Chciałam cię pielęgnować, ale ta kobieta zabroniła mi wstępu do swego domu, więc tylko codziennie wyczekiwałam zjawienia się zakonnicy, aby się czegoś o tobie dowiedzieć. Zrazu była dla mnie bardzo uprzejma, potem przez jakiś czas zbywała mnie obojętnie, aż w ostatnich dniach okazała mi bardzo wiele życzliwości i jej to zawdzięczam, że się znalazłam przy tobie. Teraz nikt nas nie rozłączy.

— Nikt — powtórzył Wolfgang.

Rozmowę przerwało wejście lekarza. Zdziwił się niezmiernie i ucieszył zarazem, że zastał Wolfganga bez porównania zdrowszym, niż się mógł spodziewać. Uznał, iż można bez najmniejszego niebezpieczeństwa przewieść chorego do pobliskiego hotelu.

W towarzystwie zakonnicy pielęgnowała go tam Helena jeszcze przez dni kilka. Wolfgang wytłomaczył jej, co go skłoniło do odwiedzenia hrabiny, a zarazem wyjaśnił, że go Dossenau skłonił do tego, aby przed nią zachować tajemnicę o samobójstwie hrabiego de Rivallier i o bytności Dossenaua u wdowy. Wyjaśniło się wszystko, tylko opowiadanie baronowej o jego pochodzeniu zataił jeszcze przed Heleną, chcąc aby się z ust Dossenaua o tem dowiedziała.

Kłopotów pieniężnych nie mieli, bo Dossenau zostawił dla Wolfganga znaczną kwotę u bankiera, tytułem honoraryum. Po tygodniu Wolfgang już mógł wychodzić, więc udał się do baronowej, chcąc zażądać jeszcze niektórych wyjaśnień. Nie zastał jej, bo wyjechała przed kilku dniami do Paryża, natomiast dowiedział się, że ta baronowa, za którą ojciec jego niegdyś tak przepadał, żyje z wyzyskiwania i oszukiwania roznamiętnionych graczy w Monte Carlo i z pośredniczenia w zawieraniu przygodnych znajomości. Ostatnimi czasy, jeszcze za życia pana Rivallier, pozyskała sobie Ellinorę do swoich planów i ułatwiała jej zyskowne znajomości.

Z tego to źródła pochodził zbytek w willi w Condamine, z tego też źródła owe wspaniałe brylanty. Dowiedziawszy się od baronowej, że Wolfgang jest synem Ericha Dossenaua, Ellinor postanowiła go usidlić, aby zyskać jego majątek. Nie wiedziała o tem, że Wolfgangowi po ojcu nic się nie należy, bo Erich całą spuściznę przetrwonił.

* * *

Barlow sposępniał, pochylił się, postarzał prędko w ciągu tego czasu, gdy został sam, bez Dossenaua. Otrzymywał wprawdzie listy, więc spokojny był o ich zdrowie, ale mimo tego nasuwały mu się ciągle jakieś wątpliwości. A nuż coś nagle się stanie okaleczałemu Dossenauowi? A któż sprawcą tego kalectwa? Wyrzuty sumienia głośno przemawiały do starego leśniczego, nie mógł ich zagłuszyć niczem, bo cisza była dokoła, nie miał z kim mówić, a nawet już i las przestał do niego przemawiać.

Teraz też dopiero przekonał się, jak bardzo kochał swoją córkę, gdy mu jej zabrakło. Do Alltroppen — do spalonego zameczka, nie zachodził nigdy, bo go stamtąd wypędzały widma przerażających wspomnień; w pałacu było mu smutno i nieswojsko; więc najczęściej wychodził na drogę, wiodącą do stacyi, jakby na spotkanie upragnionych gości, a bodaj posłańca z telegramem, że przyjadą.

Mijały tygodnie i nie było ani upragnionych, ani telegramu, aż pewnego dnia, gdy ponuro było i smutno, a deszcz kapuśniak siekł w oczy, spostrzegł Barlow na drodze od stacyi jakiś wózek wiejski. Już miał zwrócić się ku domowi, bo go deszcz dobrze zmoczył, gdy wózek zbliżał się szybko, a Barlow poznał siedzącego w nim Dossenaua, Strach go ogarnął. Czemu Dossenau wraca sam? A gdzie Helena? gdzie Wolfgang? Przerażenie Barlowa było jeszcze większe, gdy się przypatrzył swojemu panu.

Dossenau był wybladły, wychudły; oczy miał błędne, ponure.

— Siadaj stary! — zawołał Dossenau ochrypłym głosem.

Barlow usiadł, pojechali w milczeniu, bo Dossenau mówić nie chciał, a Barlow nie chciał o nic pytać.

Niedługi kawałek drogi wydał się leśniczemu jakąś piekielną podróżą. Nareszcie znaleźli się w pałacu. Dossenau tak był osłabiony, że o własnych siłach przez pokój przejść nie mógł; Barlow spoglądał wciąż z przerażeniem i wciąż milczał, nie mając odwagi o nic się pytać, przeczuwał tylko jakieś straszne nieszczęścia.

Tak upłynęło kilka godzin, aż Dossenau spojrzał na Barlowa, patrzał na niego długo, podniósł się mozolnie z krzesła, podszedł ku niemu i położywszy mu ręce na ramionach, odezwał się głosem stłumionym:

— Słuchaj stary! myśmy już sami. On podły, a ona niewdzięczna.

— Jaśnie panie... ale ona... żyje... zdrowa... — wyjąkał Barlow i łzami się zalał.

— Żyje, zdrowa — odrzekł Dossenau i zaśmiał się szyderczo. Kopnął ją, zdradził, a ona...

— A ona?... co?...

— Co?... pytasz; została tam, ale nie wiem po co? Może po to, aby patrzeć, jak ten podły będzie się zanurzał w lubieżnych objęciach wszetecznicy...

— Jaśnie panie... to nie może być... Helena tegoby nie uczyniła... Helena... jaśnie panie... moja krew... honor... honor jaśnie panie!... uczciwość kobieca. Jeżeli została, to wierzy w to, że on uczciwy i godzien wiary.

— Widziałem, jak go oplatała ramionami, jak go zasypywała całowaniem, widziałem tę wszetecznicę i jego.

Barlow już nic nie odpowiedział, spuścił oczy i zapłakał. Nastało grobowe milczenie. Dossenau osłabiony udał się na spoczynek, a Barlow siedział w kącie pokoju bezwładny, bo przywalony na duchu ciężkim kamieniem smutku.

Upłynęły ze dwa tygodnie, wśród których nie mówili starcy prawie nic do siebie, aż pewnego dnia Dossenau odezwał się do Barlowa:

— A może to ja winien? Widziałem, to prawda, ale widziałem tylko to, że ona obejmowała go ramionami i tuliła do siebie. Może on był niewinny, może go tylko wabiła —, ta nędznica. Zobaczył mnie, wybiegł ku mnie uradowany, tak, tak, pamiętam, uradowany był bardzo. A ja wściekły na niego odepchnąłem go od siebie, tak że się przewrócił i krwią zalał. Może on niewinnie posądzony?! Straszne! Tyś był z mojej winy niesłusznie posądzony o morderstwo, teraz może ja także jestem winien, żem jego niesprawiedliwie posądził. Dobrze powiadasz, że Helena nie pozostałaby przy takim, coby nie był tego godzien. On może chory... Ot, zdajmy to na Boga.

— Możeby tam napisać, dowiedzieć się czegoś?

— No — oczywiście i to dziś zaraz.

W godzinę potem pędził konny posłaniec na pocztę z listem do bankiera w Mentonie, u którego Dossenau zostawił honoraryum dla Wolfganga.

Jakoś lżej było teraz na duszy i jednemu i drugiemu, Dossenau zaczął niekiedy z lekka się uśmiechać, ożywiony nadzieją, że jeszcze wszystko się naprawi.

— Ot stary, zagrajmy sobie w szachy.

Barlow popatrzał zdziwiony, bo Dossenau od lat trzydziestu na szachy nie patrzył, od czasu, gdy się przy nich z bratem bardzo żywo posprzeczał, a była wtedy sprawa i z córką pastora i z różnymi długami Ericha. Patrzał Barlow i uszom nie wierzył, aż Dossenau powtórzył:

— Słyszysz stary! zagramy w szachy.

— Dobrze jaśnie panie! zagramy.

Dziwne to było granie. Dossenau posunął pionka, albo skoczył konikiem i pół godziny upłynęło, zanim popatrzył na szachownicę.

— No, posunąłeś już?

— O, już dawno jaśnie panie.

— A czem i gdzie?

— A ot posunąłem tu wieżę.

— Acha!

— No — masz teraz za swoje. Pilnuj wieży, bo ci ją zabiorę—i zaszachował wieżę.

Nieraz jedna partya trwała kilka godzin, bo Dossenau wciąż się zamyślał. Niekiedy znowu tak się działo, że ledwie zaczęli grać, Dossenau zamyślony uderzył pięścią w stół, aż figury się poprzewracały i Barlow na nowo na szachownicy je ustawiał.

W kilka dni po wysłaniu listu do bankiera, nadeszła taka odpowiedź:

„Miło mi donieść Panu Baronowi, że pan Doktor Wolfgang Dalmar wyzdrowiał już zupełnie po czterotygodniowej, ciężkiej chorobie, a jego narzeczona, panna Barlow, zasłużyła się najbardziej, pielęgnując narzeczonego najtroskliwiej. Lekarz oświadczył, że za kilka dni będzie mógł pan Dr. Dalmar wrócić do kraju".

Popatrzyli na siebie obydwaj i tym razem Barlow pierwszy się odezwał:

— A co? moja córka! Poczucie honoru; godność kobieca. Jaśnie panie — Wolfgang nic nie winien.

— Powróci do kraju! A ja mu zabroniłem pokazywać mi się na oczy, przysiągłem, że go zabiję. No, jeżeli on niewinnie posądzony, to przysięga nie obowiązuje. Ot posuwaj stary dalej. Co tam było?

— A no — szach królowi.

— Ej, a — prawda. A widzisz stary, wszak to już i mat. A toś mnie złapał.

W kilka dni potem był prześliczny, uroczy dzień letni. Niebo jasne, czyste, upału nie było, bo leciuchny wietrzyk wschodni ochładzał żary słoneczne. Na tarasie pałacu, w cieniu winogradu siedzieli obaj i znowu grali w szachy. Grali zaledwie od godziny, a w tym krótkim czasie Dossenau pięć razy uderzył pięścią o stół, pięć razy powywracał figury i pięć razy Barlow je ustawiał na nowo.

— Dalejże stary, na ciebie ciągnienie.

— Zaraz jaśnie panie, zaraz. Słychać jakiś turkot.

— A niech go tam!

— Jaśnie panie, już blisko bramy — i powstał Barlow, wyciągnął szyję, patrzy, krew mu twarz zabarwia, oczy się iskrzą, głos drga.

— Jaśnie panie — to oni!



Siadaj stary! — zawołał Dossenau ochrypłym głosem.

Za chwilę zatrzymał się wiejski wózek przed tarasem pałacu, Wolfgang i Helena wysiedli.

Dossenau zobaczył, zadrżał, wzruszenie ogarnęło go, chciał powstać z miejsca, ale sił mu brakło.

Barlow zbiegł po schodach tarasu. Helena rzuciła się w ramiona ojca, a Wolfgang wyprostowany, spokojny, pogodny i pewien siebie szedł na powitanie Dossenaua. Zatrzymawszy się przed nim, rzekł dźwięcznym, stanowczym głosem:

— Zabroniłeś mi pan zbliżać się do siebie, a nawet oświadczyłeś, że gotów jesteś mnie zabić, jeżeli się na to odważę. Szanuję pańskie postanowienie, a jednak przybywam i proszę tylko o chwilę cierpliwości. Mam panu powiedzieć rzecz ważną, potem odejdę.

Dossenau uczuł zakłopotanie. Spokój i stanowczość Wolfganga imponowały mu bardzo, a nawet poniekąd przytłaczały.

— Skoro pan doktor ma tak ważne sprawy, to proszę do mego pokoju.

I poszli obydwaj, a Helena została z ojcem, ucieszona, że go widzi, a pełna obawy o Wolfganga.

— Proszę pana doktora — przemówił Dossenau, wskazując miejsce Wolfgangowi — oczekuję tego, co mi pan powiedzieć miałeś.

Wolfgang nie usiadł, tylko przemówił zimno, spokojnie, chociaż z wielką uprzejmością:

— Przedewszystkiem poczuwam się do obowiązku wyjaśnić panu, dlaczego uważałem nietylko za stosowne, ale nawet za konieczne być u pani Rivallier. Chciałem to wytłomaczyć jeszcze w Condamine, gdy wybiegłem uradowany, zobaczywszy pana przed domem. Dużo ucierpiałem przez to, że pan mnie wtedy wysłuchać nie raczył. Byłbyś pan już wtedy dowiedział się o tem, że baron Erich Dossenau nie został owej nocy zamordowany, tylko że umyślnie opuścił rodzinne strony i przez jakiś czas przebywał w Ameryce, poczem powrócił do kraju i tu żył z pracy własnej, a umarł przed kilkunastu laty zostawiwszy wdowę i syna.

Dossenau spojrzał przeszywającym wzrokiem na Wolfganga, skrzyżował ręce na piersiach i odezwał się chłodno:

— I to mnie takie baśnie pan opowiadasz?

Wolfgang ani się nie rozgniewał, ani nie zmieszał, lecz najdokładniej opowiedział to wszystko, co słyszał od baronowej, a również i własne wspomnienia z tych lat chłopięcych, gdy baronową widział w towarzystwie swojego ojca.

Opowiadanie trwało dość długo, bo Dossenau kazał sobie nie jeden szczegół kilka razy powtarzać. Znać było na twarzy, że jakaś walka w nim się odbywa. Wszystko to co słyszał dowodziło mu, że opowiadanie baronowej nie jest bajką, a trzydziestoletnie przylgnienie do tej myśli, że Erich zginął owej nocy, utrudniało pogodzenie się z odkrytą teraz prawdą. Wolfgang zdjął z piersi medalion, który mu matka kiedyś na szyi zawiesiła i wręczył go Dossenauowi.

— W tym medalionie jest fotografia mojego ojca.

Dossenau spojrzał, krzyknął: „Erich!" i łzy pociekły mu z oczu strumieniami. Potem rzucił się na kolana, wzniósł ręce do góry i zawołał: „Boże dzięki ci, że nie jestem mordercą!"

Zerwał się jakby odmłodzony, przycisnął Wolfganga do piersi, ucałował serdecznie i zawołał wesoło:

— Chodźmy teraz do poczciwego Barlowa, niech się stary ucieszy, żem ja się niewinnie posądzał o morderstwo.

Helena, niespokojna wciąż o Wolfganga, aby Dossenau nie wyrządził mu jakiej przykrości, zdziwiła się niezmiernie, gdy Dossenau zjawił się na tarasie rozpogodzony, uśmiechnięty, szczęśliwy, wsparty na ramieniu Wolfganga. Pobiegła ku niemu, żeby go przywitać, Dossenau pocałował ją w czoło, skinął na Barlowa i rzekł wesoło:

— Tobie Heleno powiem na wstępie rzecz może niemiłą. Mam do ciebie wielką prośbę; czy chcesz, czy nie chcesz — spełnić ją musisz, a ty stary — musisz się zgodzić. Proszę cię kochana Heleno, żebyś zerwała z panem Wolfgangiem Dolmarem, a zaręczyła się z baronem Wolfgangiem Dossenauem, synem mojego brata, Ericha. Ażebyś długo nie czekała na niego — przedstawiam ci go w tej chwili: oto on, rzekł, wskazując na Wolfganga, mój bratanek i spadkobierca połowy mego majątku, bo druga — zapisana już pannie Helenie Barlow.

Helena i Barlow popatrzyli ze zdumieniem, a Wolfgang całując Helenę w rękę, rzekł z uśmiechem:

— To była owa tajemnica, której ci w Condamine odsłonić nie chciałem.

— On poszedł tam po mój spokój, po moje szczęście — rzekł Dossenau — a ja go niewinnie posądzałem — i...

— I uściskaj nas stryjaszku — rzekł Wolfgang.

— Z całej duszy. No, za dwa miesiące musi być wesele.

Nietylko w przyrodzie dokoła tak cudna była pogoda dnia dzisiejszego, ale i w sercach tych czworga ludzi uspokojonych, szczęśliwych miłością.

KONIEC.

Hołd zasłudze.

Stanisławowska szkoła wydziałowa żeńska im. król Jadwigi, była przed paru dniami świadkiem skromnej uroczystości, jaką niemal cały świat na-



Hołd zasłudze: Wilhelmina Nemetzowa.

uczycielski tamtejszy i uczenice zgotowały długo letniej kierowniczce szkoły, p. Wilhelminie z Walleków Nemetzowej.

Było to pożegnanie, jakiego doczekała się zasłużona nauczycielka po 35 latach żmudnej, zawodowej pracy, aby przejść w godnie i prawdziwie zasłużony stan spoczynku. Osobistość solenizantki, jej obywatelskie i społeczne stanowisko, znamienite cechy charakteru, obfita w owoce praca nauczycielska, zespoliły się w dniu owym w jeden wyraz hołdu i żalu tak grona nauczycielskiego, jak i całego społeczeństwa stanisławowskiego. Uroczystość odbyła się rano przy współudziale nauczycielstwa, dziatwy, reprezentantów duchowieństwa obu obrządków i miasta. Dziatwa uściełiła swej kierowniczce drogę kwiatami do pięknie dekorowanej sali, w której po kantacie, odśpiewanej przez chór dziewcząt i stosownych przemowach zabrała głos p. Nemetzowa i w drżących ze wzruszenia słowach wypowiedziała credo swego życia, streszczające się w dwóch słowach: „Bóg i Ojczyzna!" Imieniem duchowieństwa przemawiali ks. kanonik Piaskiewicz i mitrat ks. Faciewicz po ruskn. Obaj mowcy podnieśli wielkie zasługi jubilatki na polu pedagogicznem, oraz jej wyrozumiałe stanowisko w stosunku do obu narodowości, które jubilatka opierała na słusznej zasadzie „swoje kochać, a cudze szanować".

Ustępującą dyrektorkę obdarzyły nauczycielki szkoły im. król. Jadwigi pięknym upominkiem, dziatwa kwiatami, inne zaś osoby z miasta zamiast pożegnalnej pamiątki, złożyły skromne datki w pieniądzach na cele T. S. L. Pani Nemetzowa stoi od r. 1893 na czele stanisławowskiego Koła Pań T. S. L., sprawując swój obowiązek bardzo chlubnie. Pod jej kierownictwem Koło rozwija się pomyślnie i należy do najruchliwszych Kół w całym kraju.

W tej dwojakiej pracy oświatowej zyskała sobie jubilatka powszechne uznanie jako nauczycielka-Polka i prawdziwa obywatelka kraju.

P. Nemetzowa pozostaje nadal w Stanisławowie, oddana zawsze z umiłowaniem dalszej pracy społecznej i oświatowej.

Wybuch w kopalni.

Pomimo ciągłego postępu techniki górniczej i wszelkich udoskonaleń, mających na celu zabezpieczenie życia górników w czasie pracy w głębi ziemi, wypadki w kopalniach nietylko nie wydarzają się rzadziej, lecz raczej się pomnażają. W przeciągu jednego tylko miesiąca, od początków lutego do marca, zaszły cztery wypadki w kopalniach, z których każdy pochłonął życie kilkudziesięciu ludzi. Ostatni zdarzył się w miejscowości Hamstead w pobliżu Birmingam w Anglii.

Wieczorem dnia krytycznego dwudziestu jeden górników, którzy dopiero co spuścili się do kopalni na nocną zmianę, znaleźli się naraz odcięci od świata skutkiem pożaru, który tam nagle wybuchł. Przez całą noc i dzień prowadzono akcyę ratunkową, bezskuteczną jednak, gdyż gęsty dym, wydobywający się z kopalni, przeciął wszelką komunikacyę z zamkniętymi w ziemi górnikami. Inni górnicy usiłowali spuścić się do wnętrza, by nieść



Wybuch w kopalni: Górnicy opatrzeni w przyrządy do oddechania w drodze do płonącej kopalni.

pomoc swoim towarzyszom, lecz omdlewali po kilku chwilach, tak iż nieprzytomnych wyciągano ich na powierzchnię ziemi. Następnego dnia trzem górnikom, zaopatrzonym w specyalne przyrządy, umożliwiające oddychanie nawet wśród największego dymu, udało się zejść do kopalni. Przez pięćdziesiąt minut pozostawali oni pod ziemią, nadaremnie starając się dotrzeć do galeryi, w której zostali zamknięci ich towarzysze. Usiłowania te ponowiono jeszcze kilkakroć w nocy, lecz zawsze bez skutku. Ostatecznie daremnych wysiłków zaniechano, zwłaszcza, że wykluczoną było rzeczą, by zagrzebani mogli być uratowani.



Wybuch w kopalni: Tłum zebrany obok miejsca katastrofy.

Z tygodnia

Le roi est mort — vive le roi! Wybory się skończyły — niech żyją nowe wybory. Gotują się do nich zarówno Lwów jak Kraków — i tu i tam wola narodu ma objawić, komu przeznacza wielką misyę decydowania w sprawach łatania bruków, uprzątania śmieci, utrzymywania trawników, oświetlania ulic, ściągania dodatków do podatków, wydawania konsensów na szynki, gadania nonsensów na posiedzeniach i (pomijając sprawy inne) zaciągania pożyczek, które spłacą potomni, jeżeli będą mieli czem płacić.

Wybory do rad miejskich straciły swój dawny charakter. Nie piszę tego na wiatr, lecz opieram się na dokumentach. Przytoczę jeden z nich tylko, a mianowicie ustęp z fejletonu, napisanego w roku 1884:

> „Od kilku tygodni — pisał ówczesny fejletonista (40 kronik K. Bartoszewicza, Kraków, 1884) — sławetni obywatele głównego, królewskiego, stołecznego miasta Krakowa stali się nadzwyczaj uprzejmymi. Najwyższej godną pochwały jest ich grzeczność, połączona z wygórowaną delikatnością i z tym odcieniem delikatności, co to podbija i zniewala. Nie dalej np. jak wczoraj jeden z profesorów uniwersytetu, tolerujący zaledwo dotychczas moją obecność na tym padole, spotkawszy mnie na ulicy, pierwszy odsłonił niebotycznej uczoności łysinę, łącząc z tym ruchem słodki uśmiech przyjaźni. Jeszcze większego zaszczytu doznałem onegdaj w ogrodzie Strzeleckim, adwokat bowiem Zdzieralski swoim własnym kosztem postawił przedemną szklankę piwa johnowskiego, a radca Pantofliczek, ująwszy mnie pod ramię, wtajemniczał moją kronikarską osobę w stan majątkowy i wartość duchową swojej siostrzenicy, dając do zrozumienia, iż gdyby kodeks karny wykreślił wsteczny paragraf o dwużeństwie, z przyjemnością przyjąłby mnie do swej rodziny...
>
> „Zauważyłem jednocześnie u Krakowian niezwykłe zainteresowanie się sprawami publicznemi, a zwłaszcza dobrem miasta. Każdy prawie myśli o podniesieniu przemysłu, o zaprowadzeniu targów na rogatych i nierogatych towarzyszy człowieka, o kanalizacyi, o wybudowaniu teatru, o wodociągach, o upiększeniu miasta, oświetleniu elektrycznem i o systemie Tallarda. Zgoda wreszcie na wszystkie projekty jest tak wielka, iż kiedy zaproponowałem w pewnem towarzystwie zbudowanie w Krakowie przystani morskiej, wszyscy jednomyślnie uznali myśl moją za świetną, godną poparcia i przyrzekli wpływami swoimi skłonić delegacyę do podniesienia tej sprawy w Radzie państwa i przeprowadzenie jej pod zagrożeniem zerwania z szczęśliwie nam obecnie panującym c. k. rządem.
>
> „Co za przyczyna tego niezwykłego objawu? Ludzie złośliwi, do których serc uczucia wyższe nie mają żadnego przystępu, posądzają szlachetnych mieszkańców naszego grodu o bezwstydną obłudę, o ubieganie się jakoby za popularnością z powodu nadchodzących wyborów połowy rady miejskiej. Przypominają oni, że tak było przed trzema laty, przed sześciu, przed dziewięciu itd.
>
> „Z oburzeniem odpychając te podejrzenia anarchistów i malkontentów, muszę jednakowoż zaznaczyć niesłychane roznamiętnienie umysłów wybierających i wybranymi być chcących. W dzień powołania „mężów zaufania“ do komitetu przedwyborczego dowodził mi jakiś pan, że w razie przejścia listy „reformistów“ ukaże się na niebie krzyż czerwony, zapowiadający cały tuzin klęsk wielkich, przechodzących swą okropnością siedm plag egipskich. Tegoż samego dnia inny pan przysięgał na wszystkich świętych liberalnych, iż w razie zwycięstwa „baraniarzy“ i „czasowników“ zaprowadzoną zostanie w Krakowie święta inkwizycya“.

Tyle jest słów kronikarza z przed 24 lat, a stwierdzają one aż nadto moją uwagę, że wybory do rad miejskich straciły zupełnie swój dawny charakter. Pomijam, że już niema ogrodu Strzeleckiego i nikt nikogo piwem johnowskim nie raczy (my patryoci pijemy tylko pilznera), że nie myślimy już o wybudowaniu teatru, o zaprowadzeniu wodociągów, o oświetleniu elektrycznem, bo te słowa stały się już ciałem, ale gdzie dziś owa uprzejmość kandydatów, gdzie ubieganie się o popularność, gdzie troska choćby obłudna o sprawy publiczne, gdzie owe zebrania, na których walczono o przeprowadzenie listy „mężów zaufania“, mających obradować nad postawieniem kandydatur? Bo i po co ma kto być dziś uprzejmym i popularnym, kiedy tego nie potrzebuje, kiedy targ o mandaty do rady miejskiej odbywa się cicho i pokątnie, kiedy „mężów zaufania“ zastąpili specyalnie wytresowani agitatorzy. O wolę wyborców nikt nie pyta — będą oni tak głosowali, jak postanowią macherzy stronnictw, a raczej klik, pragnących rządzić miastem. Programu działalności nikt nie stawia, o przyszłej gospodarce nikt nie mówi — cała zakulisowa walka w Krakowie toczy się jedynie o to, czy mają wejść do rady zwolennicy czy przeciwnicy obecnego prezydenta. Jeżeli zwyciężą pierwsi, to utrzyma się prezydent i utrzymają się dotychczasowi dzierżawcy posad i synekur miejskich, jeżeli zwyciężą drudzy, to nastąpi „wymiana mózgów“. A tak czy owak nic nas nie uchroni przed podwyższeniem dodatków do podatków.

Całe szczęście, że walka o mandaty radzieckie odbywa się bez użycia broni palnej, która — jak wiadomo — robi wiele huku, drogo kosztuje i wymaga licznej „obsługi“. Wszystkiemu temu pragnie zaradzić szwajcar Fryderyk Baugerter, zamieszkały w Brooclynie. Jego armata nie wydaje nawet świstu, obchodzi się bez prochu i jakiejkolwiek chemicznej czy wybuchowej materyi Cacko to wypuszcza 500 kul na sekundę, czyli 30.000 na minutę, a blisko 2.000.000 na godzinę. Ponieważ strzela automatycznie, więc artylerzyści po włożeniu 2 milionów kul do magazynu i puszczeniu w ruch motoru, mogą sobie pójść na randkę lub na piwo. Kiedy zaś koszt wystrzelania miliona kul wynosi około 100.000 kor., wystrzelenie miliona kul Baugertera kosztować będzie tylko 50 koron. Będą się więc ludzie zabijać szybko, a co ważniejsza tanio. Zabici i ranni będą mieli tę przyjemność, że się nie nawąchają dymu i że uszne ich bębenki nie popękają od huku. Naturalnie cała bitwa, choćby największa, przy kilkudziesięciu takich armatkach zakończy się w godzinę. Oprócz więc taniości, wygody i elegancyi, uniknie się niepotrzebnej straty czasu. Zdaje się, iż armata Baugertera będzie ostatnim wyrazem sztuki zabijania. Pozostanie jeszcze wynalezienie takiej broni, któraby nie raniła, ani zabijała, lecz tylko ubezwładniała. Ale wobec rozwoju kultury i filantropii jest nadzieja, że do wynalezienia jej nigdy nie przyjdzie, tak jak nie przyjdzie do ustania wojen.

Zresztą, gdyby przyszło, byłoby wielkie nieszczęście. W samej Europie kilkanaście milionów ludzi pozostałoby bez zajęcia. Jeszcze prosty żołnież, a nawet młody oficer znalazłby sobie jakąś robotę, ale co byłoby począć z wyższymi rangami? A cóż za okropne byłoby położenie niektórych władców, którzy w potrząsaniu szablą i wojennych okrętach widzą cel swego życia! Panom tym mało budować pływające własne potwory pancerne, ale wtrącają się i do cudzej wojennej marynarki. Wprawdzie głośna sprawa listu do lorda Tweedmoutha została załagodzoną, ale pozostał smrodek i to nie w przenośni, ale w dosłownem tego pojęcia znaczeniu. Okazało się, że Wilhelm II. bawiąc w Windsorze nie był zadowolony z miejsca, „gdzie król piechotą chodzi“ i czynił z tego powodu zarzuty jakiemuś lordowi, mającemu pod sobą zarząd królewskich pałaców angielskich. Zdawałoby się, że organ powonienia, zdolny do wytrzymania ustawy o wywłaszczeniu i procesów hardenowskich, powinien nie być czuły na niedostatki miejsc ustępowych w Windsorze. Ale są ludzie tak delikatnych uczuć, że wracając z pola bitwy, lub dokonawszy rzezi spokojnych mieszkańców, wylewają łzy na widok zabitego przez zabłąkaną kulę kurczęcia.

Kto czuły, może wylać łzy i nad p. Rajchmanem, dyrektorem warszawskiej Filharmonii. Ziściły się wprawdzie jego marzenia: Toselli, mąż byłej najdostojniejszej następczyni tronu saskiego, przybył z koncertem do Warszawy. Ale, o zgrozo, choć Toselli dostał 3000 franków za występ i dwa wolne bilety jazdy koleją, za drugim biletem przywiózł nie własną głośną połowicę, lecz własnego niegłośnego lokaja. Zawiodła więc cała nadzieja, że obecność pani Tosellowej w sali Filharmonii zastąpi braki gry pana Tosellego i sprowadzi rzesze głodne widzenia romansowej damy. Wieść o jej nieobecności rozbiegła się szybko po Warszawie i na sali były pustki. A ci, co przyszli, mieli sposobność przekonać się, że łatwiej być głośnym przez wesołą żonę, niż znakomitym muzykiem. To też podobno nawet gwizdano, nietyle na p. Tosellego, co na p. Rajchmana.

Z nastaniem postu nastąpiło w Warszawie opamiętanie. W każdem piśmie czytasz jeremiady nad szałem karnawałowym, jakiemu gród syreni dał się opanować. Zabawną stroną tych jeremiad jest to, że spotykamy je i w tych pismach, które całe szpalty przeznaczały na reklamę i opisy niezliczonych zabaw. Dziś dopiero przypomniały sobie niebożątka, że w chwili uchwalania wywłaszczenia należało zachować choć pozory współczucia dla braci wielkopolskiej, a nie oddawać się takiej szalonej wesołości, jaka byłaby na miejscu chyba wówczas, gdyby po raz drugi „wszystkie landraty, hofraty, komisarze i wszystkie podobne psubraty“ uciekały z Poznania, jak to było po Jenie, kiedy „zbito Prusaków na łeb i szyję...“

Zresztą nie sądźmy Warszawy z pozorów, boć i Kraków nie pozostał w tyle i hulał jak za najlepszych czasów, o czem już miałem zaszczyt w poprzedniej kronice wspominać. I w Wielkopolsce, sądząc z pozorów, musi być wesoło, a przynajmniej na gwałt pragną się w niej zabawić. Czem bowiem wytłomaczyć, że konsorcyum teatru poznańskiego, z pomiędzy kilku kandydatów na dyrektora wybrało... najweselszego. Pan Lelewicz, komik operetki lwowskiej, dyrektorem narodowej sceny w Poznaniu — to prawdziwa niespodzianka.

Pozatem, cóż więcej słychać? Bardzo, bardzo mało. Minęły przynajmniej dwa tygodnie, a nikt nie zmienił przekonań politycznych. Minęło już parę miesięcy, a nie narodził się żaden nowy geniusz. Nie udały się bomby w Barcelonie — nawet wesołe ogłoszenia o „prawdziwych sodeńskich pastylkach Faya“ przestały zdobić szpalty dziennikarskie. Chiny zwróciły japoński okręt „Katsumara“ i bić się nie chcą — ani śladu już z wojny turecko-rosyjskiej (sprawdziła się przepowiednia kronikarza „Nowości“) — o kanałach galicyjskich wciąż gadają, ale ich nie kopią — ji nie podwyższenie podatku od wódki można uważać za pewne. Dobre i to. Przynajmniej jedyny nasz poważny produkt galicyjski „pójdzie w cenę“. A i to nieobojętne, że część dochodu z tego podatku będzie przeznaczona na sanacyę finansów krajowych. Wzrośnie więc patryotyzm, bo wypicie każdego kieliszka wódki będzie czynem patryotycznym. Ustaną narzekania pesymistów na brak patryotyzmu.

Kącik humorystyczny.

° U doktora.

Pan X będąc od dłuższego czasu chory udaje się na poradę do homeopaty. Doktór daje mu kilka razy powąchać lekarstwa, poczem mówi:

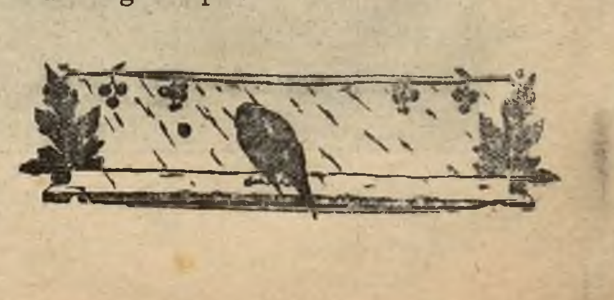
— Jesteś pan zdrów, zapłać dwadzieścia koron.

Pan X. wyciąga z kieszeni dwudziesto koronówkę, daje również kilkakrotnie powąchać, poczem chowając do kieszeni mówi:

— Ja jestem zdrów, a pan masz dwadzieścia koron w kieszeni.

Inne czasy.

(Stara panna, która zwykle z mopsem chodzi na spacer). Jak to się czasy zmieniają, dawniej zaczepiali panowie mego mopsa, aby mnie potem podziwiać, dziś mnie zaczepiają, aby podziwiać mego mopsa.



Śmierć działacza-publicysty.

Publicystyka polska poniosła bolesną stratę z powodu śmierci Jana Ludwika Popławskiego, jednego z najwybitniejszych współczesnych polityków polskich, twórcy i przewodnika stronnictwa narodowo-demokratycznego. Był to umysł niezwyczajnie jasno i trzeźwo patrzący na bieg wypadków współczesnych, umiejący szybko wśród nich się oryentować i wysnuwać logiczne wnioski. Głęboko wykształcony, świetny stylista, wypowiadający się jasno i wyraźnie, zajął wśród dziennikarzy polskich jedno z pierwszych miejsc. W działalności politycznej, choć bezpośrednio brał w niej udział tylko w ramach organizacyi własnego stronnictwa, wysunął się na czoło jako umysł twórczy, jako znakomity organizator i doskonały znawca stosunków.



Śmierć działacza publicysty: Ś. p. Jan Ludwik Popławski.

Publicystyce poświęcił się w wieku bardzo młodym. Bo kiedy jako student wydziału prawnego na uniwersytecie warszawskim został z powodów politycznych aresztowany i po całorocznem więzieniu w Cytadeli zesłany na trzy lata do gubernii wiatskiej, rozpoczął stamtąd przesyłać do pism warszawskich swe pierwsze prace polityczne, podpisywane pseudonimem „Dziad“. Artykułami swymi zwrócił na siebie powszechną uwagę, bo okazał w nich pierwszorzędny talent i temperament prawdziwie dziennikarski.

Po odbyciu kary wrócił do Warszawy, gdzie pracował w redakcyi „Prawdy“, aż do czasu powstania dziennika „Głosu“, do którego założenia nie mało się przyczynił. W tym okresie był dwukrotnie aresztowany, aż wreszcie po trzeciem uwięzieniu w Cytadeli, w której tym razem przebył trzynaście miesięcy, otrzymał rozkaz opuszczenia granic Królestwa. W następstwie tego przeniósł się do Galicyi, a osiadłszy we Lwowie, założył tam miesięcznik „Przegląd wszechpolski“. Prowadził go przez lat kilka, następnie zaś wstąpił do redakcyi „Wieku XX.“, pierwszego organu narodowej demokracyi, potem zaś do „Słowa Polskiego“, gdy ono zostało organem tego stronnictwa.

Z chwilą powstania ery konstytucyjnej w Królestwie, Popławski powrócił r. 1906 do Warszawy, gdzie objął redakcyę „Gazety polskiej“. W końcu ubiegłego roku ciężka choroba raka w przełyku oderwała go od biurka redakcyjnego. Po kilkumiesięcznych cierpieniach zmarł na ręku swych najbliższych przyjaciół politycznych.

Pogrzeb ś. p. Popławskiego, który odbył się w niedzielę popołudniu z kościoła św. Krzyża na cmentarz na Powązkach, był poważną żałobną manifestacyą, był hołdem, oddanym zasługom tego męża. Tłumy publiczności, masy wieńców, delegacye instytucyj i stowarzyszeń, a wreszcie mowy wygłoszone nad otwartą mogiłą, świadczyły wymownie, jak wielką sympatyą i uznaniem cieszył się w najszerszych kołach zmarły przedwcześnie publicysta. Między innymi przemawiali nad trumną śp. Jastrzębca-Popławskiego prezes Koła polskiego w Dumie, p. Roman Dmowski i poseł sejmowy ze Lwowa, dr. Ernest Adam, podnosząc niespożyte zasługi nieboszczyka nietylko około rozwoju stronnictwa, ale wzmocnienia idei i myśli polskiej.



Śmierć działacza-publicysty: Wyprowadzenie zwłok śp. Jana Ludwika Popławskiego z kościoła św. Krzyża w Warszawie.

Tragiczny wypadek.

(Do illustracyi na str. 4).

Nieostrożność i brak uwagi spowodowały w ubiegłym tygodniu śmierć młodzieńca, rokującego najpiękniejsze na przyszłość nadzieje, ś. p. Maryana Hubickiego, słuchacza medycyny na uniwersytecie Jagiellońskim.

Śp. Hubicki, syn aptekarza w Dębicy, cierpiał często bóle głowy i z tego powodu nosił zwykle przy sobie proszki, bóle takie uśmierzające. Kiedy przed kilku dniami ból się ponowił, śp. Hubicki zażył jeden proszek, wnet potem jednak wśród strasznych cierpień życie zakończył. Okazało się,



Straszna katastrofa: Rumowisko hotelu zburzonego, przez lawinę śnieżną.



Święto muzyczne w Stanisławowie: Prof. Antoni Uruski.

że proszek ten nie zawierał środka na uśmierzenie bólu głowy, lecz dawkę strychniny.

Straszny ten, tragiczny nad wyraz wypadek, wywołał w kołach młodzieży akademickiej, wśród której zmarły cieszył się ogólną sympatyą, duże wrażenie i powszechne współczucie.



Straszna katastrofa: Pogrzeb ofiar katastrofy.

Straszna katastrofa.

Jedno z największych i najpoważniejszych niebezpieczeństw dla wyżej położonych miejscowości górskich stanowią lawiny śnieżne, które staczając się z zawrotną szybkością z gór, burzą i niszczą wszystko, co na swej drodze spotkają.

Taki właśnie wypadek zdarzył się w ubiegłym tygodniu w Szwajcaryi, w miejscowości Goppenstein, gdzie spadające masy śniegu zdruzgotowały tamtejszy hotel, grzebiąc pod sobą kilku ludzi, a nadto uszkodziły dwa inne budynki. Katastrofa zaskoczyła ludzi, zebranych w hotelu, w czasie wieczerzy; byli to członkowie personalu, pracującego przy budowie tunelu kolejowego. Runięcie lawiny poprzedził straszliwy szum wichru i huk, poczem masy śniegu stoczyły się z góry i zasypały ogromną przestrzeń, obalając i rujnując kilka budynków. Dziewięć osób dorosłych i dwoje dzieci straciło życie skutkiem tej katastrofy, a kilkanaście odniosło ciężkie rany.

Katastrofa wspomniana należy do najstraszniejszych tego rodzaju, a spowodowała ją tzw. lawina lotna. Kiedy po dłuższym okresie mrozów pierwsze pokłady śniegu stwardnieją i utworzą gładką, lśniącą pokrywę lodową, świeżo spadły śnieg, nie mogąc się na nim utrzymać, zsuwa się w dół przy najlżejszym podmuchu wiatru, zabierając po drodze coraz większe masy śniegu. Lotna lawina, której wzrastająca szybkość wywołuje bardzo silne ciśnienie powietrza, jest właśnie z powodu tego ciśnienia bardzo groźną. Powoduje ono zwykle większe szkody i straszniejsze klęski, niż sama lawina.

Z załączonych rycin jedna przedstawia ogólny widok miejsca katastrofy, gdzie widać zburzony hotel i dwa uszkodzone budynki, drugie daje obraz ruin zniszczonego hotelu, trzecie zaś pogrzeb ofiar katastrofy.

Święto muzyczne w Stanisławowie.

Niezwykłym wypadkiem dnia i świętem w świecie muzykalnym Stanisławowa był koncert, który się odbył ubiegłej soboty w sali „Sokoła“. Przedstawił się na nim po raz pierwszy prof. Anton Uruski, nauczyciel muzyki seminaryum naucz., jako niepośledni wirtuoz i kompozytor, to też nie dziw, że zainteresowanie się koncertem było wielkie i sala koncertowa wypełniła się publicznością po brzegi.

Prof. Uruski jest Lwowianinem i liczy obecnie zaledwie 36 rok życia. Od dzieciństwa już oddawał się gorliwie grze na fortepianie, kształcąc się we Lwowie, Pradze i Dreznie. Następnie bawił w Krakowie, gdzie pod kierunkiem mistrza Żeleńskiego przez 2 lata uzupełniał swe studya kompozytorskie. Stąd wyjechał ponownie do Pragi a złożywszy rządowy egzamin muzyczny, oddał się zawodowi nauczycielskiemu.



Japońska artystka w Europie: Artystka dramatyczna Hanako.

(Do artykułu na str. 10.).

Na program sobotniego koncertu złożyły się z wyjątkiem dwóch pierwszych punktów, wyłącznie utwory własne prof. Uruskiego, wykonane przez kompozytora, chór mięszany i orkiestrę wojskową 24 p.p. Niepoślednie cechy talentu okazały zwłaszcza symfonia na fortepian z towarzyszeniem orkiestry p. t. „Zgon Konrada Wallenroda“, walce „Nad ruczajem“, osnute na motywach pieśni ludowych ruskich, a przedewszystkiem wielkie oratoryum religijne p. t. „Eli, Eli lamma sabachtani“, napisane na głosy solowe, chóry męskie oraz mięszane z towarz. orkiestry i fisharmonium.

Wykonanie wszystkich punktów programu było bez zarzutu. Publiczność przyjmowała kompozytora owacyjnie, wywołując go kilkakrotnie rzęsistymi oklaskami.



Straszna katastrofa: Ogólny widok osady Goppenstein po przejściu lawiny śnieżnej.

Jeszcze Wasiński.

Wkrótce już odbędzie się przed lwowskim sądem przysięgłych rozprawa bandy włamywaczy, Wasiński *et consortes.* Dziś aparat policyi lwowskiej ma



Jeszcze Wasiński: Ajent Rattner.

wszystkie nici w swem ręku i sprawa dojrzewa do osądzenia przez sąd przysięgłych. Nie małą zasługę około tej bądź co bądź ważnej sprawy ponosi komisarz lwowskiej policyi p. Łukomski. Zadanie jednak ułatwił mu znacznie ajent policyi stanisławowskiej p. Rattner. Gdyby bowiem Rattner z narażeniem życia nie był w Stanisławowie Wasińskiego przyaresztował przed rokiem, nie byłoby do dziś dnia śladów tego bądźcobądź sprytnego włamywacza.

Pismo nasze w swoim czasie zamieściło portret Wasińskiego, fotografowanego na podwórzu więzienia śledczego w Stanisławowie, po pierwszem jego aresztowaniu. A ujęcie Wasińskiego wówczas i uwiecznienie jego podobizny, było dziełem właśnie ajenta Rattnera.

Niezwykła siłaczka.

Kobiety, występujące dotychczas do walki z brzydszą połową świata zbrojne przeważnie tylko w przyrodzony oręż: urodę i wdzięk niewieści, chwytają się w ostatnich czasach i broni swych przeciwników, tj. siły fizycznej, by opornych podbić pod swe słodkie jarzmo.

Pionierkami tego nowego ruchu stały się jednak nie sufrażystki wszelkiego rodzaju, które okazały już swoją sprawność bojową w walce na parasolki i paznokietki, lecz damy cyrkowe, grożące z aren swymi potężnymi bicepsami. Jedna z tych niebezpiecznych wojowniczek popisuje się siłą fizyczną na scenie berlińskiego „Olympia Theater“. By postrach rzucić na mężczyzn i przekonać ich, jak łatwo osiągnąć może nad nimi przewagę, kładzie na ramiona potężne ciężki gimnastyczne, u których końców zawisają dwaj mężczyźni, a nadto na barki bierze dwa męskie osobniki i tylko jakby dla zrównoważenia tego ciężaru sam szczyt piramidy zdobi postać niewieścia. Z całym tym ciężarem przechadza się potem kilkakro-



Niezwykła siłaczka: Popisująca się w Berlinie atletka.



Zaślubiny księcia bułgarskiego: Grono gości weselnych na zaślubinach ks. Ferdynanda.

tnie po arenie, aż wreszcie jednem wstrząśnieniem swych potężnych ramion zrzuca wszystkich na ziemię.

Jeśli tego rodzaju sufrażystki wystąpią do walki o prawa wyborcze, można się spodziewać, iż parlamenty rychło otworzą swe podwoje dla przedstawicielek ludu.



Marya Przybyłko-Potocka.

Zaślubiny ks. bułgarskiego.

Uroczystość zaślubin księcia bułgarskiego Ferdynanda z ks. Eleonorą Reuss, choć była świętem o charakterze przedewszystkiem rodzinnym, zgromadziła bardzo znaczną ilość gości, prawie wyłącznie książąt krwi, z rodów spokrewnionych z parą młodą.

Pobyt na zamku Oberstein umilał gościom szereg uczt i zabaw wspaniałych. Bajeczne toalety, bezcenne klejnoty, które zdobiły wytworne damy, lśniące od złota i orderów mundury książąt, nadawały uroczystościom i zabawom pewną odrębną cechę.

Uczestników zaślubin pzzedstawia załączona w dzisiejszym numerze rycina.

Leonard Bończa.

Jeden z najmłodszych adeptów sztuki dramatycznej, wybijający się jednak dzielnie, z całą energią młodej, zamiłowanej w tej sztuce duszy. Warszawianin z rodu, po ukończeniu tamtejszej szkoły dramatycznej, zaciągnął się przed pięciu laty w szeregi sług Melpomeny w teatrze krakowskim. Początkowo grywał małe, epizodyczne rólki, nie wiele też miał sposobności do wykazania swych zdolności. A zdolności to zgoła nie przeciętne. Wysoką inteligencyę wspiera u Bończy duża intuicya, co obok bardzo dobrych warunków zewnętrznych stanowi podstawę powodzenia w karyerze scenicznej. W ostatnim sezonie kreował młody artysta kilka większych ról z zakresu charakterystycznego i zyskał zupełne powodzenie.

Zawód swój traktuje bardzo poważnie. W poglądach na sztukę aktorską zupełnie zrównoważony, broni z temperamentem zapatrywania, iż sztuka ta jest nietylko odtwórczą ale twórczą. A broni go nietylko w dyskusyi, lecz przedewszystkiem swemi kreacyami, w których istotnie daje bardzo wiele ze siebie, tworząc z postaci, w sztuce nieraz niewyraźnie nakreślonych, typy żywe, jędrne, pełne prawdy i szczerości.

To też można młodemu artyście śmiało rokować jak najpiękniejszą przyszłość.



Leonard Bończa. Fot. Kuczyński i Gärtler, Kraków.

Tryumf polskiej artystki.

Zbyt dobrze jeszcze w pamięci mamy porywające chwile, które się spędzało w teatrze, ilekroć p. Przybyłko-Potocka występowała, by kogokolwiek zdziwić mógł niebywały sukces artystyczny, jaki osiągnęła obecnie w Rosyi.

Wybrawszy się we wrześniu, z doborową własną trupą na trzechmiesięczną wycieczkę po większych miastach Królestwa i Cesarstwa, przedłużyć ją musiała tak dalece, że do tej jeszcze chwili bawi w podróży i z początkiem dopiero przyszłego miesiąca spodziewanym jest jej powrót do Warszawy.

Znakomita artystka, która w ostatnich latach umiała się wybić na pierwszy plan, ujarzmić swym olbrzymim temperamentem i zgoła niepospolitą inwencyą tak publiczność Warszawy, jak i Krakowa, z niemniejszym, a powszechnie i z większym jeszcze entuzyazmem witaną była wszędzie, gdziekolwiek się tylko ukazała. Pisma polskie i rosyjskie umieszczały po każdem przedstawieniu recenzye obszerne, w których nietylko grze „jednej z najlepszych artystek europejskich“ — jak ją nazwał któryś z najpoważniejszych krytyków petersburskich — lecz i dramatowi polskiemu, wiele miejsca poświęcano. Dzięki też tym występom liczne kolonie polskie, po całym obszarze Rosyi, miały świetną sposobność zapoznania się z najwybitniejszymi utworami naszego dramatycznego i komedyowego repertuaru, reprezentowanego przez Przybylskiego, Zalewskiego, Krzywoszewskiego, Gorczyńskiego, Perzyńskiego, Przybyszewskiego, Zapolską i Wyspiańskiego, którego „Sędziów“ pierwsza p. Przybyłko na scenę w Petersburgu wprowadziła, grając z przedziwną siłą i ekspresyą tragiczną rolę Jewdochy.

Po tej pełnej tryumfów pracy, która łączyła w sobie zadania artystyczne z zadaniami wybitnego narodowego znaczenia, mamy nadzieję, że młoda i przedsiębiorcza artystka nie spocznie na laurach, lecz że tem chętniej wróci do pracy na naszym gruncie, darząc nas, jak dawniej, nowemi kreacyami swego w bogactwa niewyczerpanego talentu.

Z lwowskiego bruku.

(Wiosna — nie wiosna. — Venus-Orbellini a tani opał. — Mlaskanie w teatrze. — Wdzieki sufrażystek. — Obrazek z przyszłości. — Przedwyborcza rzeczywistość. — Sądy znawcy o galeryi miejskiej — Kamienica Sobieskiego. — Wspaniały projekt).

Zdawało się, że już, już przyleciała... Szykowna, zgrabna, uśmiechnięta, powiewna. Wyszczerzyła niewprawione zęby, kokieteryjnem okiem rzuciła po całem mieście od Grodeckiego po górny Łyczaków — i gdzieś się podziała. Pozostał po niej tylko zapach lekki, przyjemny i rozkoszny. Zapach wiosny.

Bo to ona zawitała i bez pożegnania zniknęła, „jak sen jaki złoty“. Widocznie za zimno jej jeszcze było we Lwowie. Wprawdzie zarząd „taniego opału“ sprowadził dużo drzewa i dużo węgla, ale na sprowadzeniu skończył na razie swą działalność. Złożone na składzie magistrackim zapasy czekają zlitowania się nowej zimy, aby spełnić swą „dobrodziejską“ rolę.

A tymczasem w mieście, w mieszkaniach i tramwajach zimno. Więc nic dziwnego, że panna wiosna odwróciła się tyłem i uciekła. Zwłaszcza że była w szacie nietylko przewiewnej, ale i dziurawej. Co innego panna Orbellini. Ta wprawdzie także pokazała się we Lwowie w szacie bardzo przeźroczystej, ale to było na „Tannhäuser ze“ w teatrze, gdzie specyalnie na to ogrzano scenę. Więc wrażenie było kolosalne. Ile razy Venus-Orbellini zjawiała się na scenie, tyle razy rozlegało się mlaskanie języków i to tak donośne, że niemal przygłaszało orkiestrę. Ale bo też było co widzieć i było się czego oblizywać!

Mniej tego rodzaju wrażeń odnieśli ci, którzy następnego dnia byli w sali ratuszowej na wiecu kobiet. Urządziły go nasze suffrażystki z pod znaku panny Dulębianki. „Tryumf“, przy wyborach sejmowych odniesiony, nie daje im spać (och ten marzec!), więc myślą o zdobyciu rady miejskiej. Ponieważ jednak „na razie“ stawianie kandydatek byłoby beznadziejnem, więc na wiecu uchwaliły popierać swoimi głosami tylko tych kandydatów, którzy się zobowiążą bronić niewieścich pretensyi i interesów, oraz walczyć za równouprawnieniem kobiet i przyznaniem im nietylko czynnego ale i biernego prawa głosowania.

Ostatecznie żądanie to nie jest wcale niesympatyczne. Należy przypuszczać, że obecność bodaj kilku (byle nie brzydkich) radnych płci żeńskiej na posiedzeniach miejskiej rady, wpłynęłaby dodatnio na tok spraw. Niejeden „ojciec miasta“, siedziałby wytrwale na miejscu conajmniej trzy godziny, gdyby go posadzono obok milutkiej „mamusi“. Najłatwiej zaś byłoby w takim razie o komplet na posiedzeniach tajnych, przy zamkniętych drzwiach. Bo dziś zwykle brak tego kompletu.

Ciekawa też byłaby kwestya, do jakiego stronnictwa w radzie przyłączyłyby się w danym razie panie radne. Zdaje się, że nie do Strzelnicy, bo to byłoby trochę dwuznaczne, ani do lewicy. Prawdopodobnie wybrałyby „stronnictwo środka“ czyli centrum.

Ale do tego jeszcze daleko. Conajmniej sześć lat. Na razie odnowi się rada miejska tylko płcią męską, a że termin tego odnowienia coraz bliższy, więc i rajwach przedwyborczy coraz gorętszy, coraz donioślejszy. Już mamy parę tuzinów komitetów najrozmaiciej ochrzczonych i o najrozmaitszych tendencyach. A wszystkie „niezawisłe“.

Tak samo niezawisły jest sąd dra Teodora Frimmla o miejskiej galeryi sztuki. Znawca wiedeński orzekł, że galerya jest bardzo porządna, że obrazy są wartościowe i mogą być chlubą miasta. Więc wiceprezydent Rutowski tryumfuje. Pogrzebił przeciwników, który całą galeryę za nic sobie mieli.

A że ten „interes“ tak dobrze się skończył, więc zaraz magistrat zrobił drugi w tym rodzaju. Kupił pamiątkową kamienicę Sobieskiego w Rynku. Jest podobno projekt, by w kamienicy tej, pełnej pamiątkowych i cennych przedmiotów, urządzić mieszkanie prezydentom miasta Lwowa.

Myśl istotnie wspaniała. Po Sobieskim mieszkałby tam pan Ciuchciński, albo inny „miszczanin“. Dla podtrzymania tradycyi.

Tyndyryndy.

BEZ ZAWZIĘTOŚCI!

Powieść na tle opowiadań doświadczonego detektywa.

Z niemieckiego oryginału opracował Ł. R.

2 Ciąg dalszy

— Ja?

— O panu mówił Robert.

— O mnie?

— Nie mylę się.

— A więc pomylił się Robert.

Nastała pauza. Marya spuściła oczy, Fryderyk zamyślił się.

— Więc Robert to pani powiedział? — odezwał się po chwili.

Marya nie odpowiedziała, tylko potakująco skinęła głową.

— Dziwne! — rzekł Fryderyk. I pani temu uwierzyła?

— Nie miałam powodu nie wierzyć. Robert nie był wówczas moim mężem, był dla mnie tylko pańskim przyjacielem i powiernikiem. Wyjechałeś pan nagle, bez pożegnania, nie dawałeś o sobie żadnej wiadomości, więc łatwo mi było uwierzyć temu, co pański przyjaciel i powiernik opowiadał.

— A nie powiedział nic o tem, dlaczego wyjechałem tak nagle?

— Owszem. Mówił, że pana znudziły stosunki tutejsze, że postanowiłeś się od nich usunąć, że.. wyszukano panu partyę stosowną do ożenienia, że... się pan ożeniłeś i jesteś szczęśliwy.

— Ależ to sen! Nie, to jakaś straszna pomyłka lub szatańska intryga. Pani wybaczy, że wyjaśnię, wytłomaczę wszystko, że to uczynić muszę —mówił Fryderyk z uniesieniem. Raz tylko w życiu kochałem i miłości zostałem wiernym do tej chwili i wiernym jej zostanę do śmierci. Kochałem i wierzyłem, że doznaję wzajemności. Byłem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy. Stosunki moje nie były jeszcze ostatecznie uporządkowane, więc nie mogłem osobie, którą ukochałem, oświadczyć się z tą formalnością, której zwyczaje wymagają. O miłości mojej, o moich postanowieniach wiedział dokładnie mój przyjaciel, rówieśnik i kolega szkolny od lat chłopięcych, bo zwierzałem mu się ze wszystkiem, bo kochałem go jak brata, bo ufałem mu bardziej, niż sobie samemu. Przedstawiłem go też mojej ukochanej, jakbym jej brata przedstawił. Pewnego razu otrzymuję telegram, wzywający mnie natychmiast do Baltimore, do umierającego ojca; przyjaciel był wówczas u mnie. Do najbliższego pociągu pozostawało mi zaledwie pół godziny czasu, więc nie mogłem pożegnać się z ukochaną, tylko poprosiłem przyjaciela, aby jej wytłomaczył powód nagłego wyjazdu, aby jej wyraził serdeczne pożegnanie. Trzy tygodnie trwała podróż; mój statek o mało nie zatonął, skutkiem burzy i różnych przygód na oceanie. Przybyłem za późno, mój ojciec był w grobie.

Marya zarumieniła się, nie mogła opanować wzruszenia, które ją coraz bardziej ogarniało; Fryderyk to spostrzegł i również doznał głębokiego wzruszenia, ale opanował je i mówił dalej spokojnie:

— Sprawy majątkowe, uregulowanie spadku, zajęcie się matką i młodszem rodzeństwem, zajmowały mi tyle czasu, że przez dwa tygodnie, od przyjazdu do Ameryki, nie zdobyłem się na list do przyjaciela i tak upłynęło pięć tygodni od chwili, gdy stąd wyjechałem. Do mej ukochanej nie odważyłem się pisać; zdawało mi się, że to by było obrazą jej skromności, jakimś błędem towarzyskim, bo nie byłem jeszcze formalnie zaręczonym, nie usłyszałem z jej ust zapewnienia wzajemności mych uczuć. Napisałem natomiast do przyciela, doniosłem mu o wszystkiem, co się ze mną działo i prosiłem gorąco, aby zapewnił moją ukochaną, iż wciąż o niej myślę, a skoro tylko będę mógł wyjechać, natychmiast do niej pospieszę po wyrok mojego szczęścia. Nie rychło otrzymałem odpowiedź. A była ona bardzo bolesną. Przyjaciel ostrzegał mnie, abym zawczasu oswajał się z myślą, że ta, którą ukochałem, wzajemną mi nie będzie, że miała dla mnie przyjaźną życzliwość, wiele sympatyi, ale ponadto nic więcej. Nie chciałem temu wierzyć. Zebrałem się na odwagę i napisałem wprost do niej. Po kilku tygodniach przyjaciel mój pisze do mnie, że moja kochana, odebrawszy mój list, jemu go oddała z poleceniem, aby mi go wrócił i wszelkich dalszych korespondencyj wzbronił. Był to cios dla mnie straszny. Tyle wzruszeń! Strata najukochańszego ojca, utrata tej, która miała być szczęściem całego mojego życia; przytem zajęć miałem tak wiele, że wyczerpywały wprost moje siły, więc ze wzruszeń i przemęczenia rozchorowałem się ciężko. Gdym po trzech miesiącach wyzdrowiał, uporządkowałem ostatecz nie sprawy rodzinne i puściłem się w podróż daleką, dokoła świata, aby zapomnieć ukochaną — ale jej zapomnieć nie mogłem i nie zapomniałem. Przez dłuższy czas zatrzymałem się w Indyach i stamtąd napisałem do przyjaciela z zapytaniem, co się z ukochaną dzieje. Odpisał mi, że została jego żoną, że wyszła za niego zamąż z najgłębszej miłości. Wiadomo pani, że tym przyjacielem moim, tym powiernikiem — jest pan Robert Sandtner.

Fryderyk opowiadał to zamyślony, nie patrząc na Maryę. Gdy teraz skończył i na nią spojrzał, przeraził się niezmiernie. Marya siedziała nieruchoma, blada; oczy jej płonęły gorączkowym blaskiem, po twarzy ścigały się kurczowe drgania, ręce zaplotła tak, że palce się przeginały.

— Co się pani stało? — zawołał Fryderyk. Może zawołać służby?

— Nie, nie! — odezwała się Marya tłumionym głosem, odetchnęła głęboko, dłonią potarła czoło i szepnęła:

— To straszne! to ohydne! to niegodziwe!

Nastało milczenie. Marya dźwignęła się, przeszła po salonie, rozwarła okno, zaczerpnęła powietrza, usiadła ponownie i rzekła spokojnie:

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję. Muszę się odwzajemnić. Pan powiedziałeś mi swoją historyę życia, opowiem ja moją. I ja kochałam, kochałam bardzo i wzajemności byłam zupełnie pewną. Mój ukochany wyjechał nagle, bez pożegnania, nie dając długi czas żadnej o sobie wiadomości. Ile przecierpiałam, to Bogu tylko wiadomo. Jego przyjaciel i powiernik odwiedzał mnie i przynosił różne o tym ukochanym wiadomości, a zawsze takie, że krwawe sercu zadawały rany, aż w końcu słuchać ich nie chciałam. Opowiadał, że ten mój ukochany dlatego tylko miłość mi okazywał, że bardzo jestem bogata. Dowiedziawszy się, że niemam prawie żadnego majątku — postanowił zapomnieć o mnie i szukać za oceanem bogatej żony, w czem mu jego rodzina w Baltimore pomaga. Opowiadał też, że ten mój ukochany prosił, aby mi o tem wyraźnie powiedział; wreszcie pewnego dnia zapewnił mnie, że mój ukochany ożenił się w Indyach i tam jest bardzo szczęśliwy. Obrażona duma kobiety, zbolałe serce podszepnęły mi, abym i ja takiego szczęścia w bogactwie poszukała. Przyjaciel i powiernik mego ukochanego wynurzał mi się natrętnie ze swoją miłością, więc zostałam żoną Roberta Sandtnera. Oddałam mu moją rękę, ale serca oddać nie mogłam, bo ono nie mogło zapomnieć o tym, którego ukochało...

Marya wybuchła płaczem. Fryderyk ujął jej rękę i całował z uniesieniem.

— To potworne! Nikczemna zdrada przyjaciela — zawołał i oczy mu się zaiskrzyły wściekłością. Musi mi zdać z tego sprawę! Przybyłem, aby mu powierzyć sprawę finansową, dla niego korzystną, a będę musiał upomnieć się o moje szczęście, o moje stargane życie!

Zacisnął pięści, wyprostował się, jakby do walki stawał i strasznie był groźny w tej chwili. Marya przyskoczyła do niego, położyła mu ręce na ramionach i rzekła z płaczem:

— Jestem jego żoną, przysięga, obowiązek, zaklinam pana, zaklinam.. cię... mój... jedyny... nie czyń mu nic złego — i padła zalana łzami.

Fryderyk nie widział już tego, wyskoczył z salonu, a po kilku minutach wraca przerażony, blady, osłupiały, i woła zachrypłym głosem:

— Zamordowany! nie żyje!... Maryo! będziesz moją!

III.

Komisarz Haller daremnie biedził się myślami, co począć, aż wreszcie postanowił zawiadomić o zagadkowym głosie telefonicznym sędziego śledczego. Teraz rozmawiają o tej sprawie z wielkiem przejęciem. Sędzia śledczy, Maran, uchodził za najzdolniejszego w dociekaniu zawiłych spraw kryminalnych i jemu to powierzano do śledztwa wszelkie tajemnicze zbrodnie.

— Czy pan dobrze pamięta, kiedy telefon się odezwał? — zapytał sędzia.

— Ależ jaknajdokładniej — odpowiedział komisarz. Było to właśnie pięć minut przed jedynastą.

— To słowo: „czarna“ i zapewne urwane: „maska“ dają nam jaką taką podstawę do przypuszczeń, aczkolwiek bardzo wątłą.

— Morderca maskę wyrzucił gdziekolwiek, więc jak tu o nią zaczepić.

— Jeżeli posłużył się czarną maską, to niezawodnie i ubrany był czarno, ażeby go po zwyczajnem ubraniu nie poznano.

— No, oczywiście lepsza bodaj taka poszlaka, niżeli żadna.

— Na każdy sposób musimy czekać, dopóki nie nastąpi doniesienie o spełnieniu tego morderstwa, skoro nie podobna dociec, gdzie je popełniono.

— I to własnie tak bardzo mnie rozdraźnia.

— Szkoda, że niema Lindnera.

— Lindner ma dziś ważne zajęcia, ale gdyby nawet tu był, toby przecie również nic nie wymyślił.

Zapukano do drzwi.

— Proszę wejść — zawołał komisarz Haller. Drzwi się prędko rozwarły i do biura wpadł młody człowiek, bardzo pomieszany, w ubraniu czarnem. Mógł liczyć dwadzieścia kilka lat, był smukły, przystojny, o rysach twarzy dość pospolitych. Wpadłszy do biura, zaczął mówić w pośpiechu, zadyszany:

— Morderstwo, na Rennweg!

— Morderstwo?! —. zawołali niemal równocześnie sędzia i komisarz.

— Tak, tak, straszne morderstwo, ja pierwszy zobaczyłem ofiarę zbrodni — mówił zadyszany młodzieniec.

Sędzia śledczy przypatrywał się ciekawie czarnemu ubraniu młodzieńca, poczem spojrzał znacząco na komisarza.

— A jakże się to stało, że pan pierwszy zobaczyłeś ofiarę zbrodni? — zapytał komisarz.

— Gdym wszedł do jego pokoju, zobaczyłem z przerażeniem, że z rozbitą głową leży martwy przy biurku.

— Kto pan jesteś?

— Jerzy Costa, buchalter w banku związkowym.

— Gdzie morderstwo popełniono?

— Na Rennweg pod l. 5 zamordowany został bankier Sandtner

— Po co pan właśnie w onej chwili byłeś u bankiera?

— Ja się kocham w jego siostrzenicy, chciałbym się z nią ożenić...

— Może lepiej będzie — przerwał sędzia Maran — abyśmy się przedewszystkiem udali na miejsce zbrodni.

— Zupełnie słusznie — odpowiedział komisarz. A więc jedźmy, a pan, panie Costa, pojedzie z nami.

Gdy już byli w powozie, zapytał komisarz:

— Czy pan wezwałeś straż policyjną?

— A oczywiście panie komisarzu i dopiero potem udałem się na policyę.

— No to powiedz nam pan teraz o tem, w jakim celu przybyłeś pan do Sandtnera?

— Wspominałem już przecie, że chciałbym się ożenić z jego siostrzenicą, panną Ellą Gerlach. Poznałem ją przed rokiem, widywaliśmy się u mojej ciotki, którą niekiedy odwiedzała, no i pokochaliśmy się wzajemnie. Ella powiedziała o tem swemu wujowi, ale on ani słyszeć o tem nie chciał, bo moje stanowisko wydawało mu się za małe dla siostrzenicy bankiera. Nie chciał mnie nawet widzieć i dlatego nie znał mnie wcale; ja go tylko dwa, czy trzy razy widziałem z daleka. Ella mieszka przy wuju, więc jej odwiedzać nie mogłem, aż dopiero dzisiaj nabrałem odwagi, aby się Sandtnerowi przedstawić i wybłagać sobie zezwolenie na małżeństwo z Ellą. Otóż poszedłem na Rennweg. Gdy mnie Ella zobaczyła w tem czarnem, wizytowem ubraniu, domyśliła się odrazu, że chcę iść do jej wuja i zaczęła mi to odradzać, a nawet prosiła gorąco, abym nie szedł. Ale mnie coś tam ciągnęło; zdawało mi się, że zdołam przecież przemówić do serca i wyjednać sobie jego zezwolenie. Nie bacząc na prośby Elli idę, otwieram drzwi i spostrzegam rzecz straszną. Sandtner leżał zamordowany, z rozbitą głową. Przeraziłem się, struchlałem, potem wypadłem jak szalony, pobiegłem do Elli, opowiedziałem jej, zbiegłem na ulicę, sprowadziłem straż policyjną, i popędziłem fiakrem do policyi.

— Nie mógłbyś pan sobie przypomnieć, która była wtedy godzina, gdy pan wszedł do pokoju p. Sandtnera?

— A, wiem dobrze. Chwytając za klamkę spojrzałem na zegarek. Brakowało jeszcze kilka minut do jedenastej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

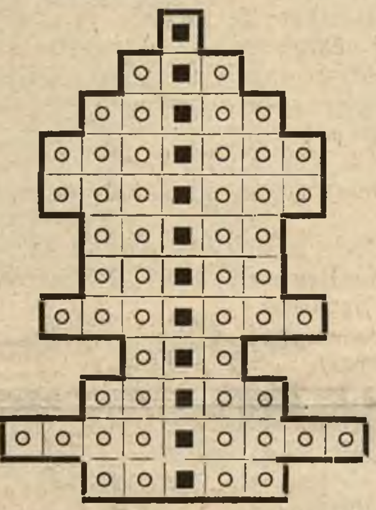
I.

Ułożył Henryk Pianowski.

Wy! *pierwsze, drugie* — postu luminarze,
Przed wami czołem dziś pokornie biję,
Wam w mem żołądku czci stawiam ołtarze,
A przez szacunek kielich wódki piję;
Bowiem, przyjmując tak szlachetnych gości,
Trzeba zachować ton przyzwoitości....
Dawno minęły balów skoczne tony,
Gdyż zaświtała era *piąta, szósta ;*
Dziś za karnawał człek jest potępiony,
Bowiem i głowa i kieszeń jest pusta,
Frak poplamiony, lakierki podarte....
Więc klniesz wspomnienia (o tym karnawale),
Co jako senne duszą *trzecie, czwarte....*
Lecz na co zdadzą się te gorzkie żale,
Przecież wiadomo prawie wszystkim wszędzie,
Że, kto, jak pączek w *trzeciem pierwszem* pływa
Ten całe życie w niem pływać nie będzie
(Taka przeznaczeń dola nieszczęśliwa)
Bo co za dużo, to bywa niezdrowe...
Więc niechaj każdy najsumienniej pości,
Aby nie ujrzał to Baltazarowe
Trzecie i siódme..... bo dostanie mdłości!
. . . .
Całe — to postu wielkie luminarze,
Im dziś poświęcam tę szaradę w darze.

Logogryf.

Kółka i kwadraty zastąpić w ten sposób literami, by litery środkowe czytane w pionowym kierunku z góry na dół dały nazwisko i imię uczonego duchownego w Polsce z czasow Stanisława Augusta Poniatowskiego.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Miasto we Francyi. 3. Szczyt w Tatrach 4. Inaczej dochód z gospodarstwa. 5. Nauka duchowna 6. Dowódca plemion indyjskich. 7. Inaczej widzenie. 8. Miasto w Indyach. 9. Przyrząd do łowienia ryb. 10. Bogini zemsty. 11. Przyrząd do mierzenia opadów atmosferycznych. 12. Roślina trująca.

Szarada.

II.

Są tylko trzy sylaby, *pierwsza* to mieścina,
Co się spółgłoską kończy, spółgłoską zaczyna;
Druga się rzuca w oko w każdym zawsze razie,
Jeżeli wzrok twój spocznie na jakim obrazie;
Trzecia rozkazującym trybem czasownika;
A gdy złożyć je w całość, z niej imię wynika,
Które mieszczą koniecznie wszystkie kalendarze,
Nosił je ongi mąż ten, co pisał heroarze.

Zagadka.

Z poniżej podanych sylab utworzyć słowa tak, by początkowe litery czytane z góry na dół utworzyły imię i nazwisko powieściopisarza polskiego, końcowe zaś litery czytane z dołu do góry, dadzą tytuły dwóch jego powieści: a, a, ar, al, bra, bad, ce, ce, cya, cya, de, u, dor, du, dzi, dło, e, eks, ga, gu, ha, if, jec, kan, karls, la, li, lia, łup, na, na, ni, o, ra, ran, san, si, ta, ta, ta, tan, u, wa, wit, za, za, za, zar.

Znaczenie wyrazów: 1. Kraj zajęty przez Niemcy. 2. Półwysep. 3 Postać żeńska z Quovadis. 4 Miejsce kąpielowe w Czechach. 5. Autor powieści »Ród Penarwanów«. 6. Największa rzeka w Szwajcaryi. 7 Minister włoski znany z niedawnego procesu. 8. Dopływ Wisły. 9 Inaczej zachwycenie. 10. Nazwisko magnata litewskiego. 11. Kraj w Europie 12. Zdobycz wojenna. 13. Małpa. 14. Cześć zegara. 15. Kwiat. 16. Cesarz rzymski. 17. Inaczej pieśń uroczysta. 18. Wyspa skalista w zatoce marsylskiej.

Za rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy powieść Żeromskiego: **»Dzieje grzechu«.**

Rozwiązanie zagadek z Nru 10.

Szarada.

Sokolica.

Logogryf.

Jan Kochanowski. Psałterz, Treny.

Zagadka.

Jan Kochanowski, Psalmy.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: Czytelnia Jordanów, S. Eckhardt Stanisławów, M. Witkowska Łańcut, E. Wieczorkowa Kraków, O. Górkowa Chyrów, A. Sołtys Herbutów, W. Sokołowski Warszawa, Z. de Bonlangé Gawłówek, Misiakowa Klub Kołomyja, W. Czeppe Tarnobrzeg, K. Fuchs Czeremchów, J. Mistecki Kołomyja, S. Kopffowa Tarnów, Z. Gandnik Stary Sącz, Z. K. Warszawa, A. Nikosiewiczowa Krzywe, W. Masiuk Dębniki, M. Grodzicka Dębniki, B. Mieczkowski Kraków, M. Krynicka, A. Kleiber Izdebnik, J. Małak Przemyśl, L. Złochowski Zaleszczyki, J. Garbień Stryj, W. Neuman Potok Złoty, Czytelnia polska Krystynopol, S. Neubauerówna Krzywe, E. Derczyński Jarosław, M. Stachowicz Kraków, S. Michalewski Zarzecze, J. Wójcikiewicz Ostrożec, O. Tłuchowski Warszawa, J. Gomulińska Bóbrka, W. Laskowski Warszawa A. Bocsoń Bóbrka, J. Łukasiewicz Mosty Wielkie, A. Kudła Tapin, W. Fried Lwów, B. Ramułtowa Jeżów, Ks. Dagnan Piwniczna, A. Pisowicz Dolczówka, M. Kozia Wadowice, K. Schnitzel Tarnów, Podobińscy Rawa Ruska, C. Fijałkiewicz Lwów, E. Zażulińska Olszanica, G. Wetscherek Brzesko, M. Rożański Libusza, Z. Eder Stołpin, J. Biegoń Sucha. Z. Furko Kraków, J. Schmidtówna Limanowa, Z. Karasińska Wadowice, J. Badura Rożdzień, Z. Ciechanowska Stary Sambor, K. Michalczewska Złoczów, I. Wielgus Wadowice, S. Jastrzębski Lublin, M. Małaczyński Pikułowice, Kierska Truskawiec, A. Mussil Lwów, J. Bazylewicz Jaktorów, E. Bogdalska Koropuż, L. Złowodzka Delatyn, Z. Geppertowa Michowa, M. Arbesbauer Lwów, A. Połończykowa Żywiec. Ks. Suski Brzezie, H. Pawłowska Bóbrka, S. Błażyński Trembowla, Słapecki Strzyżów, J. Karski Warszawa, H. Markiewicz Krościenko, K. Jurkiewicz Gwoździec, H. Chodkiewicz Warszawa, F. Niepokój Krosno, M. Wybowska Cudnów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał ks. Suski, Brzezie. Prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Głosy publiczne.

Swiąteczne pocztówki T. S. L. Bojkot towarów pruskich, podjęty obecnie przez całe nasze społeczeństwo w odpowiedzi na gwałt wywłaszczenia, skierować się powinien zwłaszcza w okresie świątecznym przeciw pruskim pocztówkom, jakiemi nas zasypują »nasi najserdeczniejsi«, używając przytem łudzących forteli w postaci napisów i tematów polskich. Jest to artykuł wprawdzie drobny, ale przez to samo bardzo niebezpieczny, bo rozrzucony setkami tysięcy pozwalał dotąd pruskim nakładcom wywozić rok rocznie olbrzymie wprost sumy z naszego kraju. Że tak jest rzeczywiście, dowodem natarczywość, z jaką już teraz narzucają pruskie firmy i ich sprytni agenci naszym kupcom, zwłaszcza drobnym, pruskie pocztówki wielkanocne. Mamy nadzieję, że usiłowania te rozbiją się o solidarny opór naszych kupców bez różnicy wyznania i bojkot ze strony całego społeczeństwa, a to tembardziej, że Zarząd Główny Towarzystwa Szkoły Ludowej wydał w tym właśnie celu 2 świąteczne pocztówki, z któremi żadna pruska tandeta nie wytrzymuje porównania. Pocztówki świąteczne T. S. L. reprodukują techniką barwnej litografii artystyczne projekty p. Anny Gramatyka Ostrowskiej, której prace z zakresu swojskiego zdobnictwa drukarskiego i sztuki stosowanej zdobyły już od dawna zasłużone uznanie. Nie wątpimy, że świąteczne pocztówki T. S. L. wyrugują bezwarunkowo pruskie fabrykaty i znaidą się w każdym polskim domu zwłaszcza, że cały dochód ze sprzedaży przeznaczony jest na cele oświatowe T. S. L. Przy zakupnie należy zwracać uwagę na napis: Nakład Zarządu Głównego Towarzystwa Szkoły Ludowej w Krakowie.

NADESŁANE.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).